

1-11-88 maj '88

kultura

NIEZALEŻNA

41

8-M-160

maj '88

kultura NIEZALEŻNA

MIESIĘCZNIK

Komitetu Kultury Niezależnej

Warszawa

Maj 1988

41

SZKICE

- Jan Walc - Życiodajne samobójstwo - 3
Kazimierz Orłoś - W obronie
zdrowego rozsądku - 22
Tzvetan Todorov - Dialogizm
i schizofrenia - 43

PROZA

- Lew M. Timofiejew - Pułapka - 60

WIERSZE

- Tomasz Soldenhoff - 78

SWIADECTWA

- O genezie i założeniach ruchu Wolność
i Pokój - z Jackiem Szymanderskim
rozmawia Aleksandra Ciechanowicz - 80

RECENZJE

- J.S. - Niewzruszone przekonania
w książce równo przyciętej - 87
Michał Boni - Brulion - 91
x. Ignacy Biuletyn - x x x - 96
Joanna Lerska - Stalinizm w oczach
dziecka czy młodzieńca? - 97

REALIA

- Jacek Trznadel - Wypluwanie atrapy - 104

DOKUMENTY

- Cztery oświadczenia z maja 1988 - 119

FELIETONY

- Leopolita - Moim zdaniem... - 125

LISTY

- Tadeusz Drewnowski - O Borowskim
w stylu "Małej kroniki" - 128
Jan Walc - Od autoła - 129

- WYDARZENIA /red. Leon Bober/ - 130

Copyright by KULTURA NIEZALEŻNA Warszawa 1988

Szkice

JAN WALC

ŻYCIODAJNE SAMOBOJSTWO¹

"Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego" to utwór o przedziwnych dziejach - dziś na ogół wstydliwie przemilezany, nieznany ogromnej części polskiej inteligencji - a przecież w swoim czasie najpopularniejszy ze wszystkich, co Mickiewicz kiedykolwiek napisał, wznowiany nieporównanie częściej od "Pana Tadeusza", jedyny utwór Mickiewicza, który odnosił rzeczywiste sukcesy w tłumaczeniach na języki obce.² A jednocześnie jest to najmniej literacki z tekstów Mickiewicza, stawiający sobie za cel wyłącznie oddziaływanie wychowawczo-polityczne, tekst, którego przynależność do literatury pięknej bardziej jest oparta o tradycję, każącą teksty Mickiewicza jako z natury rzeczy literackie traktować, niż o normalnie stosowane wyznaczniki. I jest to jednocześnie tekst, który grzebie Mickiewicza jako pisarza - po "Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego" dokończony zostanie rozpoczęty wcześniej "Pan Tadeusz", a później, do końca życia, przez następnych 21 lat, nie napisze Mickiewicz już nic, /wyjawszy nie przeznaczone przez poetę do druku piękne liryki lozańskie/, zabiłkany w szaleństwa towianizmu, Legionu i Bóg wie, czego jeszcze. Truciznę, która zabiła Mickiewicza jako pisarza, odnajdziemy bez trudu właśnie w "Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego".

Ta mała, licząca niespełna 50 stron maszynopisu broszurka, zawiera w swojej pierwszej części, "Księgach narodu", wywód historyczny,

"od początku świata aż do umęczenia narodu polskiego", zasadzający się na przekonaniu, iż pierwotny wiek złoty skończył się, gdy ludzie odeszli od wiary w jednego Boga i "naczynili sobie bałwanów", takich np. jak Honor, Interes, Dobrobyt i brnęli dalej w grzechy, których ukoronowaniem było właśnie owo "umęczenie narodu polskiego", porównywanego wprost i wielokroć do Chrystusa. Zmartwychwstanie Polski będzie oczywiście początkiem nowej ery szczęśliwości świata.

Druga, obszerniejsza część broszurki, "Księgi Pielgrzymstwa polskiego", jest wykładem nauk, jakie z przedstawionej historiozofii wynikają - ujęte są one w komentowane przypowieści czy exempla, mające polskich emigrantów, nazywanych Pielgrzymami, tak ukształtować psychicznie, by jedyną ich troską i celem życiowym było dążenie do odzyskania przez Polskę niepodległości, przy czym poeta nie podaje oczywiście żadnych recept praktycznych, które by miały wieść do tego celu bezpośrednio, nie opowiada się za żadnym z konkretnych emigracyjnych stronnictw. "Księgi pielgrzymstwa polskiego" kończą modlitwy patriotyczne, zawierające prośby o "wojnę powszechną za wolność ludów, o broń i orły narodowe, o niepodległość, całość i wolność Ojczyzny".

"Księgi" zostały zdecydowanie odrzucone przez stronnictwa polityczne, zarówno lewicy jak i prawicy; dla demokratów były nie do przyjęcia ze względu na jednoznaczne występowanie przeciw wolności dyskusji, wolności słowa, przeciw formułowaniu jakichkolwiek krytycznych ocen wobec narodowej przeszłości i teraźniejszości, dla prawicy zaś znaczenie obowiązujące miało breve Grzegorza XVI, który rzecz potraktował jako bluźnierstwo. Jednocześnie "Księgi" robiły ogromną karierę czytelniczą, były natychmiast tłumaczone na wszystkie liczące się języki, wielokrotnie wznowiane, a mimo papieskiego potępienia, ich słowami modlono się w paryskich kościołach.

Historycy literatury spierają się, czy powstały one, bądź przynajmniej pierwszy ich

rzut, jeszcze w Dreźnie, czy już w Paryżu, dokąd Mickiewicz przybył na przełomie lipca i sierpnia 1832 roku - pewne jest, że poeta pracował nad rękopisem do listopada włącznie, i że tekst ukazał się ostatecznie 4 grudnia 1832. W zamyśle autorskim "Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego" odegrać miały istotną rolę jako czynnik konsolidujący emigrację polską, dla której chciały być rodzajem programu.

Zwrócić tu należy uwagę na pewien znamieny szczegół - otóż Mickiewicz, który od wyjazdu z Rosji utrzymywał się wyłącznie z honorariów, tym razem znaczną część nakładu postanowił porożysłać darmowo po tzw. "zakładach" tj. obozach, w których skoszarowani byli wojskowi emigranci polscy, co oznacza, iż traktował "Księgi" inaczej niż dawniejsze swoje prace literackie. Miały one, jak pisał Zaleski do Nabelaka, stanowić "wyborne nauki dla ogółu tułaczów, co się myślą poprawić", miały całą sprawę polską przetworzyć w mit.

Dla swojego dziełka obrał Mickiewicz stylizację biblijną, stanowiącą bardzo często formę publicystyki oświeceniowej, szczególnie tej najostrzejszej, z epoki polemik politycznych toczonych w okresie Sejmu Czteroletniego, świetnie znaną samemu poeci, jak i jego współczesnym. Różnica jednak między np. "Katechizmem o tajemnicach rządu polskiego" Franciszka Salezego Jezierskiego czy "Fragmentem Biblii Targowickiej" Juliana Ursyna Niemcewicza a "Księgami narodu i pielgrzymstwa polskiego" jest fundamentalna - wspomniane teksty oświeceniowe mają charakter pastiszu Biblii, posługują się tylko jej formą, podczas gdy tekst Mickiewicza chce sam być świętą księgą, pretenduje do roli apokryfu, żąda, aby go w taki właśnie sposób traktować:

"Te są 'Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego', nie wymyślane, ale zebrane z dziejów Polskich i z pism i z opowiadań i z nauk Polaków, ludzi pobożnych i poświęconych za Ojczyznę, Męczenników, Wyznawców i Pielgrzymów A niektóre rzeczy z łaski Bożej."

Jest to niebywałym fenomenem, ale żądanie owo potraktowane zostało przez odbiorców ze śmiertelną powagą, i "Księgi" traktowane były jako objawione właśnie. Szczególnie interesujące, że stanowisko takie przyjęli i do dziś dzielą mickiewiczologowie, przyjmując jako aksjomat, iż w jakiś sposób zostały one "objawione" samemu poecie i nie próbując nawet zbadać hipotezy, że są one świadomie spreparowanym mitem.

Pierwszym, co przy lekturze "Ksiąg" rzuca się w oczy, a nie zostaje głośno wypowiedziane, jest ich niebywały wprost, ostentacyjny prymitywizm intelektualny. Chcielibyśmy tu bronić tezy, że wynika on z zupełnie świadomego autorskiego założenia: oto uczony poeta, filolog klasyczny, a zarazem znawca podstawowych zagadnień współczesnej sobie nauki i filozofii, postanawia zwrócić się w "Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego" nie do swoich stałych, dotychczasowych czytelników, elity intelektualnej owych czasów, ale przeciwnie, do prostych żołnierzy, znajdujących się na najniższym poziomie intelektualnym, jaki poeta ów potrafił sobie wyobrazić:

"Czytajcie je /Księgi" - JW/, Bracia-Wiara-Żołnierze; a ci, co są między wami starsi, których nazywacie podoficerami czyli namiestnikami, niech Wam objaśniają i wykładają."

"Albowiem naczelnicy Wasi są jak rodzice wielu dzieci, zajęci i dziećmi, i gospodarstwem i domem."

"Ale podoficerowie Wasi są jako piastunowie i niańki młodszych braci żołnierzy i ciągle z nimi są, pilnując ich."

/"Księgi pielgrzymstwa polskiego" XXIV.
ww. 1838-1847/

Sposoby argumentacji i stosowane exempla świadczą, iż wirtualny czytelnik "Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego" miał rzeczywiście reprezentować poziom intelektualny niższy od podoficerskiego.. Ich założenia są głęboko defensywne, oparte na strategii dalekiego

wycofywania się na teren absolutnie bezpieczny i oczekiwania na sprzyjający moment - słowem strategii, jaką Mickiewicz znał jako strategię Kutuzowa, a o której my wiemy ponadto, że sprawdziła się również w okresie II wojny światowej. Mickiewicz świetnie zdaje sobie sprawę, że propaguje rejteradę i głęboką defensywę:

"A kto chce związać wierzchołki drzew, musi je nachylić: nachylcie więc rozumy Wasze, a zwiążą się."

/ "Księgi pielgrzymstwa polskiego", XII, ww. 1007-1008/

I oto niepostrzeżenie owo "nachylanie rozumów" staje się najwyższą cnotą, a defensywna strategia oznacza przecież w "Księgach" odrzucenie całej współczesnej kultury, cywilizacji i nauki europejskiej:

"Zaprawdę powiadam Wam, iż cała Europa musi nauczyć się od Was, kogo nazywać mądrym. Bo teraz urzędy w Europie hańbą są, a nauka Europy głupstwem jest."

/ "Księgi pielgrzymstwa polskiego, IV. ww. 611-614/

Mickiewicz posuwa się zresztą jeszcze dalej:

"Nie wszyscy jesteście równie dobrzy, ale gorszy z Was lepszy jest niż dobry cudzoziemiec".

/ "Księgi pielgrzymstwa polskiego", X, ww. 866-867/

Zrozumiałą skądinąd chęć dowartościowania emigrantów, wyleczenia ich z kompleksu niższości, decyduje się poeta opłacić ksenofobią na poziomie sarmackiej świadomości z czasów najciemniejszej nocy saskiej. Zresztą procenty od tego przychodzi płacić do dziś: prof. Pigoń w wydaniu "Biblioteki Narodowej" opatruje cytowane dwa wersy przypisem: "porów. analogiczne słowa Chrystusa do Apostołów u Mat. 5, 13-16", najwidoczniej uważając, że z odpowiedzialności za te straszne słowa trzeba Mickiewicza zwolnić za wszelką cenę, nawet fałszywego powoływania się na Ewangelię, w której słów podobnych nie ma.

"Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego" są próbą stworzenia dla polskiej diaspory

"nowego zakonu" /tego sformułowania używa w nich wielokrotnie sam autor/, który zorganizowałby jej życie we wszystkich jego sferach - Mickiewicz nie waha się nawet wypowiadać w sprawie stroju czy jedzenia, pragnąc zbudować system tak wszechogarniający jak prawo Mojżeszowe:

"Nie naśladowcie bałwochwalców w ubiorach Waszych /bo/ są jako nierządnice, które się bielą i różują i stroją, i im brzydsze, tem piękniej ubierają się".

"Wy noście Czamary powstańskie, i starsi i młodszy; bo wszyscy jesteście żołnierzami powstania Ojczyzny. Czamarą zaś nazywa się po polsku strój, w który ubierano umierającego."

"A wielu z Was umrze w stroju powstańskim."

/"Księgi pielgrzymstwa polskiego", XII, ww. 1025-1026 i 1030-1037/

Mickiewicz staje na stanowisku, że w warunkach diaspory najistotniejsze jest zachowanie tożsamości poprzez odrębność od otaczającego obcego żywiołu, i że tak pojmowana narodowa identyczność warta jest wysokiej ceny. Wielokrotnie powtarzają się w "Księgach" sformułowania każące postrzegać otoczenie jako zdecydowanie i jednoznacznie niebezpieczne, wręcz wrogie:

"Pamiętajcie, że jesteście wpośród cudzoziemców, jako trzoda wśród wilków i jako obóz w kraju nieprzyjacielskim."

/ibidem.X ww 853-855/

albo:

"Jesteście w ziemi cudzej wśród bezprawia."

/Ibidem, XVI, w. 1346

albo:

"Nieraz mówią Wam, iż jesteście wpośród narodów ucywilizowanych i macie od nich uczyć się cywilizacji; ale wiedźcie, że ci, którzy Wam mówią o cywilizacji, sami nie rozumieją co mówią."

/Ibidem,V,ww.635-638/

W sumie więcej w "Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego" inwektyw pod adresem krajów, które emigrantów polskich przyjęły, niż słów krytyki skierowanej przeciwko zaborcom,

a już w żadnej formie nie pojawia się nic w rodzaju uczucia wdzięczności za okazaną gościnę i pomoc; czytając tekst Mickiewicza nie sposób by przypuścić, że emigranci polscy byli owacyjnie witani w krajach niemieckich, a rząd francuski postanowił wypłacać im żołd, co zresztą trwało latami.

U podłoża tych sądów nie leży - to szczególnie ważne - przekonanie autora o ich prawdziwości. "Księgi" bowiem zawierają multum sądów oczywiście fałszywych, i których fałszywość była dla Mickiewicza równie oczywista jak dla nas, ale raczej przekonanie o ich przydatności czy skuteczności. Nie sposób tutaj nie przypomnieć stosowanych przez młodziutkiego Mickiewicza kategorii "prawd martwych i prawd żywych", które my nazwalismy odpowiednio niefunkcjonalnymi i funkcjonalnymi.

Konstruując swoje "wyborne nauki dla ogółu tułaczów, co się myślą poprawić", gotów jest Mickiewicz w pedagogicznym zapędzie nawet odwrócić prawdę o 180 stopni.

"W uroczystościach Waszych nie naśladowcie bałwochwalców".

"Albowiem bałwochwalczy, między którymi żyjecie, obchodzą święta narodowe wesołe, czy smutne, zawsze jednym sposobem, to jest jedzeniem i piciem; stół jest ołtarzem ich, a brzuch Bogiem ich."

/Ibidem, XII, ww. 1009

-1015/

Tak się akurat przez przypadek składa, że w "Moich podróżach" Domeyki natykamy się na opis lipcowego święta w miasteczku Suippes koło Châlons-sur-Marne, w którym uczestniczyli z Mickiewiczem dokładnie w okresie, kiedy powstawały "Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego". Oczywiście i bez tego dość mamy innych informacji na temat różnych ciekawych świątecznych obyczajów, które Mickiewicz miał okazję obserwować w swoich podróżach po Europie Zachodniej /np. niemieckie obyczaje kurkowe, szeroko opisywane przez Odyńca/, musiał więc poeta nie tylko wiedzieć dokładnie, ale mieć w najświeższej pamięci fakty, stanowiące

zaprzeczenie jego słów. Z kolei nie musimy zaglądać do Kitowicza, żeby stwierdzić, że przypisywane przez Mickiewicza "bałwochwalcom" świąteczne obyczaje obżarstwa i opilstwa jako żywo nie mogły być dla Pielgrzymów nowym i obcym doświadczeniem, bo wprost przysłowiowo należą one do polskiego właśnie obyczaju.

Cytujemy ten drobiazg, ponieważ wydaje się on dobrze unaoeczniać, iż Mickiewicz ma do opisywanej w "Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego" rzeczywistości stosunek kreatora; uważa, że może ją kształtować wedle swojej woli, swojego politycznego, ideowego czy pedagogicznego zamysłu i podobnie jak nie-lubiany przez niego Hegel uważa, że fakty powinny ugiąć się przed siłą jego teorii. Stawia sobie za cel narzucenie polskim emigrantom pewnego rodzaju świadomości i obyczajowości, bo uważa, że będzie to pożyteczne, a jeżeli do tego celu trzeba użyć argumentów fałszywych, to zupełnie nie nie szkodzi.

"Księgi" są polskim samoubóstwieniem i nie ma w nich miejsca na dopatrywanie się w historii czy współczesności polskiej czegokolwiek złego - można w nich znaleźć miażdżącą krytykę dziewiętnastowiecznego parlamentaryzmu europejskiego, ale nie ma tam złego słowa na temat szlacheckiego sejmikowania czy "liberum veto". Poeta staje na stanowisku, że w obozie oblężonym przez nieprzyjaciela nie czas na takie rozstrząsania. Zresztą wszelkie rozstrząsania są nie na miejscu i do niczego nie prowadzą, wobec czego "Księgi" ich po prostu zabraniają. Naganne są dyskusje nad przyszłym kształtem odrodzonej Polski, nie-dopuszczalne krytykowanie przywódców Powstania Listopadowego, etc.

"Zaprawdę, powiadam Wam: nie badajcie, jaki będzie rząd w Polsce, dosyć Wam wiedzieć, iż będzie lepszy, niż wszystkie, o których wiecie; ani pytajcie o jej granicach, bo większe będą, niż były kiedykolwiek."

/Ibidem, XX, ww.1673
-1677/

albo:

"Nie wyszukujcie ustawicznie w przeszłości błędów i grzechów. Wiecie, iż ksiądz na spowiedzi zakazuje ludziom o przeszłych grzechach myśleć, a tem bardziej z drugim gadać, bo takie myśli i gadania znowu do grzechu prowadzą."

/Ibidem, X, ww 878-882/

Słowem - w Mickiewiczu znowu dochodzi do głosu Konrad, ten, którego miłość nie spoczęła na poszczególnych ludziach, bo jest miłością totalną, ukochaniem milionów. Autor "Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego" stara się zrobić wszystko, aby Pielgrzymów odrzeć z podmiotowości, uczynić tylko wykonawcami otrzymanych dyspozycji, żołnierzami Sprawy, których zaletą będzie karność i posłuszeństwo. Stąd nie apelują "Księgi" do umysłów, a przeciwnie, w myśleniu widzą niebezpieczeństwo, rozwichrzenie, które prowadzić musi do obniżenia karności i jednolitości.

Dlatego też z taką wrogością odnoszą się "Księgi" do wszystkiego, co cudzoziemskie; Mickiewicz nie jest gotów uznać, że cudzoziemcy "nie gęsi", widząc w innym niż wrogów do nich stosunku niebezpieczną drogę ku osłabieniu i rozmiękczeniu polskiej emigracji. Poznawanie i akceptowanie nowych obyczajów, nowych wartości, musi siłą rzeczy powiększać tylko owo niebezpieczne rozwichrzenie, negatywnie odbijać się na spójności i jednolitości emigracji polskiej, osłabiać walkę o Narodową Sprawę.

Ale przecież ubezwłasnowolniające zabiegi, jakie "Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego" podejmują wobec Pielgrzymów, są dla nich jednocześnie nęcącą ofertą: Mickiewicz oferuje im przecież udział w boskości, czyniąc każdego z nich częścią Polski - Chrystusa Narodów, gwarantując im wyższość wobec wszystkich innych. Powraca tu motyw z III części "Dziadów": odrzucenie możliwości godziwego życia w znajdującej się pod zaborami Polsce:

"Duszą narodu polskiego jest pielgrzymstwo polskie."

/Ibidem, ww. 427-428/ 11

Po tym zdaniu, otwierającym "Księgi pielgrzymstwa" posunie się Mickiewicz jeszcze dalej:

"Pielgrzym polski powiada: kto idzie za Wolnością, niech opuści Ojczyznę i odważy życie swoje."

"Bo kto siedzi w Ojczyźnie i cierpi niewolę aby zachować życie, ten straci Ojczyznę i życie; a kto opuści Ojczyznę, aby broił Wolność z narażeniem życia swego, ten obroni Ojczyznę i będzie żyć wiecznie."

/Ibidem, VII, ww. 768-774/

Jest to zresztą w jakiś sposób motyw najbardziej dla "Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego" charakterystyczny, a polegający na czynieniu enoty z konieczności. I charakterystyczna jest również cena: było niewątpliwie pomysłem dobrym i sensownym działanie w tym kierunku, aby polskim emigrantom, którym władze francuskie dawały boleśnie odczuć, że są obywatelami drugiej czy trzeciej kategorii /n.b. sam Mickiewicz do końca życia, a więc przez lat 20, bezskutecznie starał się o naturalizację, która między innymi likwidowałaby jego nieustanne trudności paszportowe/, pozwolić czuć się dobrze i swobodnie, ale przecież Mickiewicz postanowił płacić za to totalizacją świadomości, odebraniem emigrantom prawa swobodnego wyboru, demonstrowaniem wzgardy dla wszystkich innych, już nie tylko cudzoziemców, ale i rodaków pozostałych w Ojczyźnie.

Dokonało się pomiędzy III częścią "Dziadów" a "Księgami narodu i pielgrzymstwa polskiego" bardzo ciekawe przesunięcie w poglądach poety: indywidualna pycha i pogarda Konrada, zakwalifikowana jako grzech i choroba, odrzucona i potępiona na rzecz biorowości, powraca oto, w dodatku poważnie wzmocniona, jako pycha zbiorowa, jako pogarda dla obcych podniesiona do rangi narodowej cnoty. Nie ma w całej literaturze polskiej drugiego tekstu, który by tak poniewierał jednostką, jak właśnie Mickiewiczowskie "Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego", poeta bowiem, przekonany, iż odrzucił pychę Konrada, a pełen jej w istocie,

folguje jej w imię zbiorowości, dokonując swoistej sakralizacji grzechu.

Charakterystyczne, że Mickiewicz zdecydował się pierwsze wydanie "Ksiąg" opublikować bezimiennie; jest oczywiste, że nie wchodziły tu w grę względy bezpieczeństwa, bowiem jednocześnie wydawał pod własnym nazwiskiem III część "Dziadów", która była zupełnie wystarczająca dla narażenia się carskim władzom, zaś wzgląd na recepcję utworu też by takiego kroku nie narzucał, bo książeczka podpisana znanym już wtedy bardzo szeroko nazwiskiem Mickiewicza miała oczywiście lepsze szanse u czytelników od anonimowej broszurki; należy przeto uznać, iż decyzja bezimiennego publikowania "Ksiąg" miała być ze strony poety swoistym aktem pokory.

Mickiewiczowi wydawało się najwyraźniej, że pycha i pogarda mogą być niebezpieczne i grzeszne wtedy tylko, kiedy są indywidualne, a usunięcie w cień swojej osoby postrzegał jako gwarancję zabezpieczenia się przed nimi - i w ten sposób wyznawane od młodzieńczych czasów przekonanie o specjalnej ważności tego, co zbiorowe, o prawie zbiorowości do sądzenia jednostek, które kształt kanoniczny poniekąd otrzymało w II części "Dziadów", ale jest przecież obecne w jakiś sposób w ogromnej większości utworów z okresu wileńsko-kowieńskiego, zsyntetyzowało się w "Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego" właśnie z Konradową pychą w ostateczny kształt mesjanistycznej ksenofibii.

Widoczny jest jednak wyraźnie hybrydyczny charakter tekstu, który z jednej strony chciał by nawoływać do czynu, do walki o interesy powszechne:

"Bo kto nie wyjdzie z domu, aby ZŁO /podkr. poety/ znaleźć i z oblicza ziemi wygładzić, do tego ZŁO samo przyjdzie i stanie przed obliczem jego."

/Ibidem, IX, ww. 850-852

albo:

"... bo gdzie tylko w Europie jest ucisk Wolności i walka o nie, tam jest walka o

Ojczyznę i za tę walkę bić się wszyscy powinni" /sic! - JW/.

/Ibidem, XXI, ww. 1080-1088/

z drugiej zaś nakazuje zamknięcie się w narodowym partykularzu, uniemożliwiające, czy przynajmniej poważnie utrudniające realizację tych szczytnych haseł.

W kończącej "Księgi" Litanii Pielgrzymskiej prosi się Boga o "wojnę powszechną o Wolność Ludów", a jednocześnie w całym tekście zniechęca Pielgrzymów do jakiegokolwiek z tymi ludami obcowania, postulując niewdawanie się z nimi w rozmowy i dyskusje:

"Nie spieracie się z cudzoziemcami rozumowaniem i gadaniem, bo wiecie, iż gadatliwi i krzykliwi są, jako chłopięta w szkole, a najmędrszy nauczyciel nie przegada jednego zuchwałego i jęczynliwego chłopięcia."

/Ibidem, VI, ww. 757-761/

Wiara w kreacyjną moc słowa, na której się przecież "Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego" opierają, niebezpiecznie powraca jak bumerang w formie obawy przed słowem - by tak powiedzieć - konkurencyjnym:

"Skoro posłyszycie takie słowa, uciekajcie, zatknawszy uszy, i donieście starszym."

/Ibidem, XVII, ww. 1456-1457/

Niezależnie więc od intencji Mickiewicza, i najpewniej nawet po prostu sprzecznie z nimi "Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego" stają się manifestem konserwatyzmu, i to takiego, który sam widzi się w okopach św. Trójcy, który z każdej strony /pamiętamy wszak porównanie z warownym obozem w kraju nieprzyjacielskim/³ spodziewa się śmiertelnego niebezpieczeństwa. Charakterystyczny jest tutaj brak zaufania do Pielgrzymów; wprawdzie niejednokrotnie Mickiewicz porównuje ich z Apostołami, które to porównanie narzuca i język "Ksiąg", i wizja Polski jako Chrystusa Narodów, ale przecież jednocześnie nie obdarza ich żadnymi pełnomocnictwami ani elementarnym nawet zaufaniem, traktując jak dzieci, których naprawdę lepiej nie spuszczać z oka.

Wiele można mówić na temat "potępiających swarów" zarówno Wielkiej Emigracji, jak i każdej innej; trzeba przyjąć za oczywiste, że ogromna część odbywanych po klęsce Powstania Listopadowego, i nie tylko listopadowego, dyskusji - była przelewaniem z pustego w próżne i że czasem przykro i ciężko dyskusji takich słuchać - pomysł jednak, aby ich zabronić, a taka idea przyświeca przecież autorowi "Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego", wydaje się, przynajmniej nam, których doświadczenie sięga końca XX wieku, czymś znacznie od najbardziej jałowych dyskusji gorszym.

Chciał Mickiewicz w "Księgach" swoich wzywać Polaków do walki o wolność - i począł swoich żołnierzy wolności jednolicie mundurować, i to w trumienne stroje, chciał maksymalnie wykorzystać ich energię i dobrą wolę, i aby się nic nie zmarnowało, postanowił narzucić żelazną dyscyplinę, sui generis tyranie wolności.

Obawiał się - i zapewne słusznie - anarchii i rozprzężenia, pragnął temu złu zapobiec /a pamiętajmy, że "Księgi" nie wyrastają z emigracyjnego doświadczenia poety, ale raczej je antycypują, ukazały się one bowiem w druku ledwo w cztery miesiące po jego przybyciu do Paryża/ i sam nie wiedząc kiedy, zwrócił się przeciw wolności i podmiotowości jednostki.

Takich przygód zdarzyło mu się zresztą w "Księgach" więcej: nigdy nie cenił Hegla, chętnie wyrażał się o nim z lekceważeniem, a tu określił jego naukę jako truciznę /nb. w jednym zdaniu z nauką dawnego swojego mistrza Voltaire'a/, choć przecież jednocześnie temu- co pisał w "Księgach", nie tak do Hegla daleko, szczególnie zaś blisko, jeśli wziąć pod uwagę zasadnicze przedkładanie abstrakcyjnej idei nad normalne ludzkie sprawy, troski i zajęcia, które w świecie "Ksiąg" po prostu nie istnieją. Nie jest bowiem tak, że trzeba je w imię dobra wyższego poświecić /"Bywaj dziewczę zdrowa, Ojczyzna mnie woła!"/ co tak jasno było postawione w "Konradzie Wallenrodzie" - tutaj one po prostu nie istnieją..

Warto przy okazji wspomnieć, że "Konrada Wallenroda" Mickiewicz poczynając od tego okresu zdecydowanie odrzuca, zresztą jako jedyne ze swoich dzieł. Józef Bohdan Zaleski tak pisze do projektującego wydanie antologii poezji polskiej Nabelaka: "Mickiewicz /.../ projekt twój w zupełności pochwała, nie chce tylko, by "Wallenrod" był tłumaczony, którego najmniej ceni z dzieł swoich. Raczej "Grażynę" "Dziady". Tak się składa, że list datowany jest 4 grudnia 1832, a więc w dniu ukazania się pierwszego wydania "Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego".

Owa niechęć do "Konrada Wallenroda", który jednocześnie robi ogromną karierę czytelniczą, o którym obiegowe powiedzenie w Warszawie po 20 listopada 1830 roku mówiło: "słowo stało się ciałem a Wallenrod Belwederem" ma oczywiście liczne zbiegające się przyczyny. Jak już wykazywaliśmy, wbrew potocznej opinii Mickiewicz bynajmniej nikogo do wywoływania powstania nie chciał wzywać, a kiedy sam do niego nie przystąpił, autorstwo "Konrada Wallenroda" kompromitowało go dodatkowo, co zresztą wykorzystywali jego przeciwnicy. Pisał Kajetan Koźmian:

"Uznaję jego talent, lecz wyznam przed tobą,
O ile dowcip cenię, pogardzam osobą.
Czemuż to ten jegomość, co urokiem śpiewu
Zachęcał ziomków swoich do zdrad i do krwi
przelewu,
Wywędrował i obce odwiedzał narody,
Gdy mściwy miecz wytepiał jego Wallenrody?
Jeden tylko na świecie był potwór tak srogi,
Co stolicę na cztery zapaliwszy rogi
Nucił przy lirze pieśni na bezpiecznym tronie
Ciesząc się, że jak Troja, Rzym pożarem płonie.
A gdy mu wyrzucano bezbożne zamiary,
Rzekł: piękniejszy zbuduję Rzym, niżli ten
stary."⁵

Z punktu widzenia autora "Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego" "Konrad Wallenrod" był nie do przyjęcia ze swoim indywidualizmem, ze swoim przekonaniem, iż wolno mu "z własnego prawa brać nadanie."

Jak pamiętamy, "Konrad Wallenrod" zaopatrzo-
ny jest w motto z Machiavellego, który w "
"Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego"
odsądzony zostaje od czci i wiary:

"A z tych mędrców fałszywych, kapłanów
Baala i Molocha i Równowagi, dwóch było naj-
sławniejszych."

"Pierwszy nazywał się Machiawel, co znaczy
z greckiego: człowiek chciwy wojny; iż jego
nauka prowadziła do wojen ustawicznych, jakie
były między poganami grekami." /wszystkie pod-
kreślenia Mickiewicza - JW/

/"Księgi narodu", ww.226-232/

Krytykując tak ostro Machiavellego nie waha
się Mickiewicz, w imię osiągnięcia pożądanego
efektu perswazyjnego, pisać oczywistej nie-
prawdy. Jeśli bowiem można by ewentualnie
założyć, że temu filologowi klasycznemu mogło
się choćby przez chwilę wydawać, iż nazwisko
włoskiego pisarza rzeczywiście wywodzi się
od greckiego machos - walka, to nie mamy żad-
nego prawa, aby przypuszczać, że mógł on
naprawdę uważać, iżby wydawane w XVI wieku
teksty Machiavellego mogły stymulować wojny
prowadzone przez starożytnych Greków, nazywa-
nych tu - nie bez przyczyny "poganami grekami."

Więcej: można z całą pewnością powiedzieć,
że "Księgi" pisał uczeń Machiavellego i że
mało w polskiej literaturze politycznej przy-
kładów tak skrajnego zastosowania pragmatyzmu
w celach perswazyjnych, z jakim mamy do czy-
nienia u Mickiewicza. I to właśnie ten prag-
matyzm, ta patriotyczna socjotechnika każe
mu odrzucić Konrada Wallenroda, postać posłu-
gującą się wprawdzie metodami pragmatycznymi,
ale przecież wbrew sobie.

Jakby bowiem Wallenroda interpretować, gdy-
by nawet iść utartą drogą mickiewiczologów,
za panią matką utwór potępiających, przyznać
przecież trzeba, że jego bohater wszystkie
te straszne rzeczy, które robi, robi bez przy-
jemności i czując się przymuszony okolicznoś-
ciami, a w istocie ciągle tęskni do pięknego
ogrodu, który zasadził dla Aldony, tam chciał-
by z nią powrócić i straszliwych swoich planów

zaniechać. I jeśli nawet zlekceważyć te jego zapewnienia i przypomnieć co bardziej znanych zbrodniarzy o najczarniejszych duszach, którzy kochali kwiatki i ptaszki, przyjaźnili się z dziećmi albo lubili fotografować z sarenkami - a więc nawet wtedy jeszcze trzeba będzie dodać, że w "Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego" nie ma nawet i takich, najmniej-szych choćby śladów ludzkiej słabości.

Decyzje Konrada rozumie się przecież jako poświęcenie pewnych wartości dla sprawy ogól-niejszej, a i Halban, który go do podjęcia tej decyzji zmusił, docenia wagę ofiary:

"Biada, biada jeżeli dotąd nie spełnił przysięgi
Jeśli zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony
zatrąwszy..."

Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświę-
cił..."

/ "Konrad Wallenrod", IV, ww. 592-594/

W "Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego" o ofierze czy poświęceniu nie ma w ogóle mowy - Mickiewicz w głoszonych naukach absolutnie nie bierze pod uwagę, że formułuje program specjalny, możliwy do przyjęcia w szczegól-nych warunkach, ale przecież przy bardzo wyso-kich kosztach własnych, do których trzeba wli-czyć wspomnianą przez nas totalizację świado-mości i także przecież skrajną jej pragmatyza-cję.

Konradowi Wallenrodowi można zarzucić, że świadomie godzi się na koszty tak wysokie, na jakie godzić się nie wolno nigdy - o auto-rze "Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego" powiedzieć wypada, że zachowuje się, jakby był w ogóle konieczności płacenia jakichkol-wiek kosztów nieświadom. Istotną przecież cechą tego tekstu jest manifestowanie prze- konania, iż ma on charakter objawiony - stąd brak miejsca na wszelkie zastrzeżenia i wą- pliwości, stąd konieczność prezentowania naj- bardziej nawet szokujących nauk czy wskazówek postępowania dla Pielgrzymów jako czegoś naj- naturalniejszego w świecie. Ten bowiem, kto jakiś model zachowań pragnie innym narzucić, musi zachowywać się tak, jakby traktował go jako oczywisty.

W "Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego" z pola widzenia Mickiewicza umknęło wszelkie zainteresowanie losem i szczęściem poszczególnych ludzi, które tu zastąpione zostało troską o sprawy wyłącznie niezwykle generalnie, w oparciu o ukrytą - a przecież jednocześnie fałszywą - przesłankę, mówiącą, iż uszczęśliwienie świata jako całości jest w ogóle możliwe i że jest ono równoznaczne z uszczęśliwieniem poszczególnych ludzi. Wiele wskazuje na to, że Mickiewicz nie zdawał sobie sprawy, jak niebezpieczna, także i dla niego samego, jest droga, na którą wkroczył pisząc "Księgi", manifest lekceważenia dla jednostki, dla osoby ludzkiej.

Wymagały one bowiem odrzucenia tego wszystkiego, co uczyniło Mickiewicza wielkim, co wykreowało go na poetę - wrażliwości na sprawy ludzi i świata. Tej wrażliwości, która mu pozwalała wychwytywać drgania prawdziwej poezji w ludowych śpiewkach, które z kolegami filomatami starał się za młodu zbierać, tej, która pozwalała na wspaniałą obserwację i w podróży krymskiej, i w drodze do Rosji, i w Petersburgu, tej wreszcie, która w wewnętrznej walce, w sporze z samym sobą pozwoliła stworzyć "Dziadów" część III. Pisząc "Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego" Mickiewicz zdecydował się wrażliwość swoją złożyć na ołtarzu Ojczyzny, uznając, że nie ma na nią obecnie miejsca, że nadszedł czas, kiedy wszystko trzeba jasno i na pewno wiedzieć, kiedy na żadne wątpliwości i dyskusje nie ma miejsca, kiedy dla dobra Sprawy trzeba odrzucić i rozum i serce, pozostawiając sobie jedynie zbiór prostych wskazówek.

Miał 34 lata, był w pełni sił twórczych i sławy, raptem 10 lat po debiucie i pisząc "Księgi" nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że popełnia samobójstwo jako poeta, że zdoła już tylko dokończyć "Pana Tadeusza" i zamilknie na zawsze. Ale przecież jednocześnie zapowiedź tego samobójstwa znaleźć można już w młodzieńczej "Odzie do młodości":

"I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu,
Jeżeli poległym ciałem
Dał innym szczebel do sławy grodu."

/"Oda do młodości", ww. 36-38/

Już tu pada zapowiedź "Ksiąg" w zobaczeniu człowieka jako przedmiotu, jako szczebla. I te słowa wypada powtórzyć po poetyckim samobójstwie Mickiewicza. Samobójstwie, które było dla niego samego jakoś życiodajne, bo to przecież "Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego" właśnie, chociaż mu drogę do dalszej twórczości zamknęły, jednocześnie uczyniły go Wieszczem, przeniosły wraz z całą wcześniejszą twórczością w polski mit, nadały wymiar olimpijski. Może więc rzeczywiście szczęśliwy, choć padł wśród zawodu?

I czy padł rzeczywiście? Skończył pisać, zajął się działalnością polityczną, zgodził się żyrować swoim nazwiskiem zbiorowy obłęd, jakim był towianizm, który zresztą całą swoją karierę zawdzięcza wyłącznie udziałowi Mickiewicza, ale przecież jednocześnie te wszystkie działania, które dzisiaj tak trudno ocenić inaczej niż krytycznie, z których znacznej części - jak towianizmu właśnie - właściwie nie sposób zrozumieć, że aż narzucają się interpretacje mówiące o obłędzie albo policyjnej prowokacji - otóż mimo to wszystko Mickiewicz razem z tym, co wcześniej napisał, a później czynił, stał się na całe pokolenia opoką polskiego patriotyzmu.

Na ogół przyjmuje się, że wierzył literalnie w to, co mówił i pisał - staraliśmy się dowodzić, że w odniesieniu do "Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego" wyjątkowo trudno byłoby wiarę taką zachować uważnie tekst przeczytawszy; podobnie rzecz ma się w wypadku znacznie późniejszego słynnego Legionu, wbrew tej szumnej nazwie składającego się z dwunastu osób, z których żadna nie umiała praktycznie posługiwać się bronią, a ich wymarsz z Rzymu był przecież tylko patriotycznym gestem propagandowym - wydaje się, że przypisywanie Mickiewiczowi nieumiejętności odróżniania tego typu działań propagandowych od rzeczywistości jest dla niego obraźliwe.

Oczywiście, należy pamiętać, że gesty Mickiewicza jednocześnie naprawdę były czynami bo potrafił on - właśnie przy pomocy słów i gestów rzeczywistość tworzyć czy przynajmniej poważnie przekształcać, i dlatego przy wszystkim złym i krytycznym, co jest o "Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego" do powiedzenia, nie wolno zapominać o ich ogromnym oddziaływaniu. Pisząc "Księgi" Mickiewicz założył, i nigdy nie będziemy wiedzieli, czy uczynił słusznie, że integracji narodowej można próbować dokonywać tylko na tak niskim poziomie, na jaki się właśnie zdecydował, z ksenofobią, zaściankowością, konserwatyzmem, z brakiem jakiegokolwiek narodowego samokrytycyzmu. Jego program był zachowawczy, ale bo też był to program zachowania polskości.

Może nie wystarczył do walki o wolność, ale przygotowywał do niej grunt, co tak jasno wyłożył w "Syzyfowych pracach" Stefan Żeromski pokazując, jak "Reduta Ordona" stawała się właśnie redutą polskości, niezdobytym okopem w walce o zachowanie narodowej tożsamości. Może nie jest przypadkiem, że wbrew słynnemu powiedzeniu Gomułki z 19 marca 1968 roku, że "Mickiewicz nigdy nie był i nie będzie sztandarem reakcji", konserwatyści polscy, zwłaszcza w końcu XIX wieku, nie mieli bardziej sztandarowego pisarza, a w stulecie jego urodzin, w roku 1898, Józef Piłsudski na czele sił niepodległościowych organizował bojkot uroczystego odsłaniania pomnika na Krakowskim Przedmieściu, zorganizowanego wspólnie przez kolaborantów i okupantów?

Może nie jest przypadkiem, że pokolenie, które ostatecznie niepodległość Polski wywalczyło, chowało się raczej na Słowackim? Kiedy temu trwaniu, które tak było dla Mickiewicza ważne, trzeba się było przeciwstawić w imię stworzenia czegoś więcej, w imię wybicia się na niepodległość z zakisłej atmosfery patriotyzmu gestów i deklaracji - potrzeba było tego wszystkiego, czego u Mickiewicza zabrakło: aby wymaszerować z Oleandrów, śpijąc "Nie chcemy dziś od was uznania" trzeba

się było chować nie tyle na "Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego", ile raczej na "Grobie Agamemnona", trzeba było nie tylko patriotyzmu, ale i krytycyzmu, pozwalającego przeciwstawić się temu, co zastane, tej rewolucyjnej gotowości do zmieniania świata, tej odwagi, która by pozwalała nie zleknać się nowego "synowi szlacheckiemu".

Jan Walc

PRZYPISY

¹ Fragment książki "Architekt arki" poświęconej twórczości Adama Mickiewicza.

² Natychmiast w roku 1833 wychodzą przekłady francuski, niemiecki i angielski, później wiele innych. W 1946 roku właśnie "Księgami" inauguruje swoją działalność kierowany przez Jerzego Giedroycia Instytut Literacki; dwa lata później w okresie powstawania państwowości izraelskiej powodzeniem cieszy się wydany tam przekład hebrajski.

³ w tym file'u nie ma!

⁴ J.B. Zaleski, "Korespondencja" t.1, str. 43, Lwów 1900

⁵ K.Koźmian, "List do Fr.Morawskiego". Wiersz podówczas tylko w obiegu rękopiśmiennym, drukowany w 1881 roku, tu cytowany za M. Der-nałowicz, "Kronika życia i twórczości Mickiewicza" 1832-1834, Warszawa 1966, str. 142-143

KAZIMIERZ ORŁOS

W OBRONIE ZDROWEGO ROZSĄDKU

"Pakt ten jest jednym z najważniejszych dokumentów w historii międzynarodowej naszych czasów, gdyż oznacza on zdecydowany przełom w rozwoju wzajemnych stosunków Związku Radzieckiego i Niemiec i stał się punktem zwrotnym w historii Europy, a nawet nie tylko Europy". Tym zdaniem z przemówienia Mołotowa zaczyna się artykuł "Rocznica Paktu" w jednym z pierw-

szych numerów "Prawdy Wileńskiej" z 1940 roku. "Pańska Polska nie wytrzymała ciosu i upadła, rozsypała się jak domek z kart..."

Dla Polaków wojna to Niemcy. Wojna to Hitler. Utrwalony przez lata indoktrynacji, zatajania i zagmatwania faktów historycznych, heroiczny obraz walczącej Polski, to obraz walki z Niemcami. Kto walczył z Rosjanami? Oddziały KOP-u w 39 roku? NSZ, "reakcyjne podziemie"? Nie ma odpowiedzi prostej. Wiemy jedno: wszystkie siły, morze krwi, cały zbrojny wysiłek naród nasz poświęcił walce z Niemcami. I został pokonany przez Rosjan. Nawet tam, gdzie terror niemiecki nie przybierał skrajnie brutalnych form, jak na terenie wileńszczyzny, nie tolerowano ludzi opowiadających się w konflikcie Niemcy-ZSRR raczej po stronie Niemiec. Wybierających spośród dwóch wrogów, wroga mniej, ich zdaniem, niebezpiecznego. Myślę, że właśnie dlatego tak wielu ludzi, po dzień dzisiejszy, nie może wybaczyć Józefowi Mackiewiczowi kilku tekstów ogłoszonych w 41 roku w "Gońcu Codziennym".

Ala odwróćmy sytuację: jest rok 1940 i Wilno jest pod okupacją sowiecką. Związek Radziecki obchodzi rocznicę paktu Ribbentrop - Molotow, zajmuje połowę terytorium państwa polskiego, jest sojusznikiem Niemiec. I jest oczywistym wrogiem Polski. Jak zachowują się niektórzy Polacy w tej prostej sytuacji, kiedy jeszcze nie trzeba dokonywać dramatycznych wyborów? Jeszcze Związek Radziecki nie jest "sojusznikiem naszych sojuszników", jeszcze generał Sikorski nie podpisał paktu z ambasadorem Majskim. Wróg jest wrogiem.

Zamiar dokonania porównań skłonił mnie do przejrzenia rocznika "Prawdy Wileńskiej" ukazującej się od ostatnich dni sierpnia 1940 roku do 20 czerwca 41 roku w Wilnie. Nie chcę kogokolwiek oskarżać ani stawiać "pod pręgierzem". Dlatego nazwisk nie będę wymieniał -

rocznik pisma można przeczytać w bibliotekach. Niech nazwiska zastąpi krótka charakterystyka postaci - tego, niestety, nie da się uniknąć.

W numerze 14 z pierwszych dni września znajdują ogłoszenie "Teatr Miniatur". Program otwiera aktualna rewia muzyczno-śpiewna "Moskwa-Wilno" w dwóch częściach i 14 odsłonach. W zespole znany aktor, po wojnie przez wiele lat fetowany na scenach polskich.

Również we wrześniu: artykuł "Pierwszy polski tłumacz Marksa" zasłużonej dla kultury polskiej pani profesor - historyka literatury.

W rubryce "Odpowiedzi Działu Literackiego", m.in. odpowiedź pewnemu czytelnikowi - miłośnikowi poezji: "Wiersz "Jest może pierwsza po północy", świadczy o tym, że posiadacie ważną dla poety zaletę: umiejętność znalezienia oryginalnego, niezależnego pomysłu. To dobry temat: słońce wznoszące się nad Moskwą, "rąbkiem" oświetlające Wilno".

W numerze 25 krótka wiadomość pt. "Zbiorowy poemat lwowskich poetów": "Korespondent "Literaturnoj Gazety" donosi, że poeci m.Lwowa spotykają rocznicę objęcia zachodnich okręgów Ukrainy przez władze sowieckie - wielkim poematem zbiorowym. Poemat składać się będzie z dwóch części: pierwsza część poświęcona jest walce rewolucyjnej w okresie panowania austriackiego i polskiego, druga - nowemu życiu ludu pracującego pod opieką Konstytucji Stalinińskiej. Poemat mówi o socjalistycznej przebudowie i o nowych stosunkach między ludźmi. Poemat ma około 700 wierszy."

Dalej następują nazwiska, m.in. 6 nazwisk znanych poetów i pisarzy polskich, którzy po wojnie, przez wiele lat tworzyli i publikowali wiersze i powieści, byli członkami ZLP, piasłowali stanowiska i godności, wydawani, hołubieni i fetowani, żyli długo i szczęśliwie, jakby mogło brzmieć zakończenie bajki. Ale to nie bajka.

W numerze 33 znów o literatach: "Pisarze Lwowa członkami związku Pisarzy Radzieckich". W podsumowaniu tej ważnej wiadomości czytamy: "Roczny dorobek wielu pisarzy jest bardzo znaczny. Szereg nowych utworów,/.../ dwa poematy zbiorowe poświęcone tow.Stalinowi wy-

mownie ilustrują ten proces, który przebyli w ciągu tego roku pisarze."

W numerze 39, w rubryce "W kilku wierszach" notatka: "W sali moskiewskiego Domu Związkowego odbyły się 23,24,25,26 września br. występy lwowskiej orkiestry Tanjaz". Kierownikiem zespołu był znany polski kompozytor muzyki rozrywkowej. Konferansjerem znany aktor

W numerze 63 nowa wiadomość dla literatów: "Polskie pismo literackie w Moskwie". "W najbliższym czasie - czytamy - ukaże się w Moskwie pierwszy numer miesięcznika społeczno-politycznego i literacko-artystycznego "Nowe Horyzonty" - organ Związku Pisarzy Radzieckich." W kolegium redakcyjnym znane nazwiska - m.in. koryfeusza polskiej literatury, tłumacza i publicysty oraz poety, którego autor notatki nazywa "jednym z najzdolniejszych poetów młodego pokolenia". Dwie spośród wymienionych osób znalazły się po wojnie w centrum polskiego życia kulturalnego. D.c. notatki: "Pismo to - jak pisze miński "Sztandar Wolności" - stworzy niewątpliwie mocną więź między bogatą literaturą Związku Radzieckiego a pisarzami polskimi z wyzwolonych obwodów, otworzy swoje łamy dla utworów, których poziom artystyczny łączy się z wolą służenia wielkiej sprawie budownictwa kultury socjalistycznej, przyczyni się do wychowania młodych kadr polskich pisarzy radzieckich."

"Pisanie wierszy wymaga wytrwałej pracy" - stwierdza w numerze 69 poeta-żagarysta udzielający konsultacji początkującym literatom. Jako przykład pozytywny cytuje strofę wiersza "ob.Ign.J.":

"Wystawił sobie pomnik trwalszy nad Metale,
Wrósł w nasze serca i każdy nasz nerw,
Przeminą wieki, sław doczesnych drwale,
Lecz jego dzieło trwać będzie przez przerw..."

W numerze 99 relacja z Teatru Polskiego, gdzie wystawiono sztukę radzieckiego dramaturga Gusiewa "Sława" - "wizerunek człowieka epoki zwycięskiego socjalizmu". Rozmowa ze znaną aktorką, która jednocześnie jest reży-

serem spektaklu. Tytuł rozmowy: "Słoneczna sztuka". Ta aktorka przez wiele lat po wojnie była ulubioną postacią niekończącej się powieści radiowej.

W numerze 95 z 41 roku, na "stronie małych czytelników", poemat pt. "Nasz marsz". Autorem jest ten sam poeta-żagarysta, który udziela rad początkującym literatom. Oto trzy zwrotki z obszernego utworu:

"W każdym mieście, wsi i osadzie,
Jak daleko sięga Władza Radziecka,
Co dzień dźwięczy piosenka radosna
I dzwoni szczęśliwy śmiech dziecka.
Dla nas wszystkich jednako nad Kremiem
Rubinowa gwiazda się pali,
Wszystkich nas swą otacza opieką
Nasz kochany towarzysz Stalin.
Powiewają czerwone chorągwie,
Niebem czujny samolot leci...
Raz - dwa! Raz - dwa! w marszu radosnym
Idą, idą radzieckie dzieci!"

W numerze 108 znany profesor-literaturoznawca, członek Polskiej Akademii Literatury, omawia wybór wierszy znanego poety. Recenzję kończy następującym zdaniem: "Wysłuchajmy się w wiersze /tu nazwisko/ a posłyszymy w nich głos rzeczywistości, z której poezja jego wyrasta. Posłyszymy gwar i łoskot miast, bijący w niebo, ujrzymy łuny ogniste nad kominami fabryk i pola kwitnące kołchozami, ujrzymy łuki mostów wiodących w nową erę, w erę zwycięskiego komunizmu: w przyszłość wolnej i szczęśliwej ludzkości."

Tytuł recenzji: "Poety /tu nazwisko/ droga do ojezyny".

Taka była wileńska "Prawda" I w tej "Prawdzie" pracował człowiek, który pierwszy oskarżył Józefa Mackiewicza o kolaborację z Niemcami. Ale Mackiewicz nie jeździł do Berlina, aby zakładać pismo literackie, nie pisał poematów o Hitlerze, nie twierdził, że jego ojczyzną są Niemcy. Obrońcy "polskich pisarzy radzieckich" i przeciwnicy Mackiewicza powiedzą, że sytuacja była inna na terenach okupowanych przez związek Radziecki, że pisarze

ci w większości byli przekonani lewicowych bądź komunistycznych, nie godzili się z przedwojenną rzeczywistością Polski i protestowali przeciwko niej. Niektórzy siedzieli w polskich więzieniach. Byli ludźmi uczciwymi. Wielu przeżyło później rozczarowania i odeszło od komunizmu. Inni wierzyli, że w ostatecznym rachunku poparcie okazane "Władzy Radzieckiej" będzie dla Polski korzystne, że innej drogi nie ma. Itd. To prawda i daleki byłbym od rzucaania oskarżeń, pamiętając, że sytuacja Polski i Polaków była w tym czasie dramatyczna. Jeśli jednak oskarżenia są rzucane na Józefa Mackiewicza i jeżeli podobnych tłumaczeń - światopoglądowo-politycznych - nie uznaje się wobec tego pisarza, można jego przeciwnikom zadać kilka pytań. Dlaczego pisarza, który opublikował kilka antysowieckich tekstów w niemieckim piśmie, uznano za kolaboranta i skazano na śmierć, a jednocześnie ludzi, którzy wypisywali poematy na cześć Związku Radzieckiego, Stalina, jeździli do Moskwy, "kłaniali się nie tyle rewolucji", ile wrogom własnego kraju - kraju, którego byli obywatelami, sławili państwo, które było w stanie wojny z ich krajem - dlaczego tych ludzi nikt nigdy nie oskarżył o kolaborację? Dlaczego żaden sąd polski /niechby zaocznie, na emigracji/ nie skazał na moralne potępienie? Z punktu widzenia prawa polskiego wszyscy oni dopuścili się nie tylko kolaboracji z wrogiem, ale zdrady. Rzeczy trzeba nazywać po imieniu, jeśli tak surowo oceniamy Józefa Mackiewicza.

Czy naprawdę można usprawiedliwiać ludzi, którzy wstępowali do związku Pisarzy Radzieckich w chwili, kiedy setki tysięcy ich rodaków wywożono w bydłowych wagonach na wschód? W jakiej mgie błądzili? Nie znali prawdy o procesach stalinowskich, o ludobójstwie zwanym kolektywizacją?

Czy poeta, który pisał poemat o "dzieciach radzieckich", nie wiedział, że tysiące dzieci polskich zamarzło w wagonach podczas deportacji? Że setki tysięcy dzieci radzieckich było więźniami łagrów? Jak ci ludzie patrzyli na

otaczającą ich rzeczywistość, jakiej "nowej ery" się spodziewali? Czy naprawdę nie potrafili milczeć?

Są to drażliwe pytania, ponieważ problem jest wstydlivy i od lat okryty zasłoną milczenia. Tu, w kraju, rozumiałe z jakich przyczyn. Po wojnie "polscy pisarze radzieccy" byli nietykalni: ich protektorzy wygrali wojnę. Ale surowi oskarżyciele "kolaborantów" w wolnym świecie może odpowiedzą na pytanie: czy można porównywać postawę Józefa Mackiewicza z postawą "polskich pisarzy radzieckich"?

O Józefie Mackiewiezu często mówi się "zaciekiy antykomunista". Brzmi to jak epitet: kojarzy się z faszyzmem, brakiem obiektywizmu, itp. Tych, którzy określenia tego używają /m.in. autorów listu pt. "W obronie prawdy" zamieszczonego w 35 numerze "Pulsu" /chciałbym zapytać, czy określenia "zaciekiy antyfaszysty" użyliby również w polemice z człowiekiem, który był wrogiem faszyzmu? Jeśli nie, to z jakiego powodu człowiek, który "zaciekle" zwalczał komunizm ma być fanatykiem a ten, kto "zaciekle" zwalczał faszyzm fanatykiem nie jest? Uważam, że ani jeden ani drugi na miano fanatyka nie zasługuje.

Spróbujmy raz jeszcze przyjrzeć się faktom.^{x/} Wszystkie pomówienia Mackiewicza o kolaborację sprowadzają się do zarzutu "wydawania", "redagowania" lub "współredagowania"

x/ Dokładnie analizuje fakty Jerzy Malewski w swoich pracach poświęconych Józefowi Mackiewiczowi, m.in. w szkicu pt. "Jedynie prawda jest ciekawa"/Oficyna Wydawnicza "Pokolenie", Warszawa, 1987/. Moje ustalenia pokrywają się z ustaleniami Malewskiego - zdecydowałem się przypomnieć je raz jeszcze, ponieważ przeciwnicy Mackiewicza, jakby ignorowali fakty, nie trzymali się konkretów, pomijali milczeniem to, co nie odpowiada z góry przyjętej tezie.

pisma "Goniec Codzienny", ukazującego się w Wilnie podczas okupacji niemieckiej. Tak m.in. formułował swój zarzut Stefan Korboński, tak twierdzą przedstawiciele Zarządu Głównego Koła Armii Krajowej /"Puls" nr 35/, tak twierdzi Jerzy Surdykowski i tak w końcu brzmiał zarzut w artykule "Pod pręgierzem", w AK-owskim piśmie "Niepodległość" w roku 1942. Zacytuje fragment tego artykułu: "Znalazło się niestety na bruku wileńskim trzech szubrawców, co za "judaszowe srebrniki" niemieckie zgodzili się na tę szkodliwą dywersję przeciw własnemu narodowi i wydają szmatławiec drukowany w polskim języku: "Goniec Codzienny", przez ludność Wilna służnie "podogońcem niemieckim" przewzany. /.../ Na rozkaz "Propaganda-Abteilung" piszą w nim artykuły na zadany temat, dorabiają komentarze do ohydnych antypolskich komunikatów propagandowych, umieszczają wszelkie kłamstwa i fałsze niemieckie. Któż są ci trzej "panowie" oddający te podłe usługi naszym katom? /.../ ... To pan Józef Mackiewicz wielomówny "literat" i polityk bez zasad i moralno-obywatelskiego oblicza, za czasów smetanowskich serdeczny przyjaciel litewskich okupantów i z ich poduszczenia ideolog lokalnego ruchu prolitewskiego oraz główny filar redakcyjny "Gazety Codziennej", będącej na usługach i żołądzie szwiniaków litewskich. /.../ Za grube setki i tysiące marek, płynących do kieszeni tych szubrawców, zdradzają oni interes własnego narodu, ale myślą się bardzo jeśli sądzą, że zbrodnie ich pozostaną bez kary. Dla propagatorów i czcicieli brunatnego terroru w Polsce Odrodzonej nie będzie miejsca. Chyba... na szubienicy."

W taki sposób, posługując się językiem inwektyw i pogróżek, sformułowano po raz pierwszy zarzuty przeciwko Józefowi Mackiewiczowi. Artykuł ten, na który często powołują się przeciwnicy pisarza, był głośnym początkiem "sprawy Józefa Mackiewicza". Zrozumiałe, że w warunkach okupacji, w roku 1942, anonimowym oskarżeniom nie można było przeciwstawić się publicznie. Ktoś, kogo postawiono w ten sposób

"pod pręgierzem", nie miał możliwości obrony od początku. A przecież artykuł "Pod pręgierzem" w zasadniczym stopniu przyczynił się do nadania biegu sprawie. Stanowi swoistą cezurę, aby użyć modnego słowa, w życiu Józefa Mackiewicza. To ten kamyk, który spowodował lawinę.

Jak było naprawdę? Wyjaśniam, że dotarłem do źródła, tzn. do roczników "Gońca Codziennego", dzięki czemu mogłem zweryfikować zarzuty anonimowego autora z "Niepodległości". Otóż w żadnym z numerów "Gońca" nie ma dowodu na to, że Józef Mackiewicz był "współredaktorem" lub "współwydawcą" pisma. W "stepce" od początku do numeru 513 powtarza się niezmiennie: "Wydawca - Redaktor Czesław Ancerewicz". Teksty sygnowane "J.M." znalazłem w roczniku 1941. Są to: dwa antysowieckie teksty publicystyczne, których tezy były później przez autora wielokrotnie powtarzane, m.in. w "Zwycięstwie prowokacji" oraz dwa fragmenty powieści "Droga do nikąd". W roczniku 1942 żadnych tekstów Józefa Mackiewicza nie ma. W roczniku 1943 są dwa: recenzja książki niemieckiego komunisty i wywiad o Katyniu. W sumie Józef Mackiewicz sześć razy wypowiadał się na łamach "Gońca Codziennego", a mianowicie:

- artykułem "Przeżyliśmy upiorną rzeczywistość"
- numer 2 z lipca 41 roku;
- publikując fragment "Drogi do nikąd" pt. "Moja dyskusja z NKWD" - numery 6,7,8 i 9 z lipca i sierpnia 41 roku;
- artykułem "To dopiero byłaby klęska" - nr 16 z sierpnia 41 roku;
- ponownie drukując fragment "Drogi do nikąd" pt. "Prorok z Popiszek" - numery 68, 69, 70 i 71 z października 41 roku;
- omawiając książkę niemieckiego komunisty Karola Albrechta pt. "Zdradzony socjalizm"
- tytuł artykułu "Piekło wysp Sołowieckich", numer 523 z marca 43 roku;
- udzielając wywiadu po powrocie z Katynia
- tytuł: "Widziałem na własne oczy" numer 577 z 3 czerwca 1943 roku.

Podsumowując ustalenia dokonane z rocznika-
mi "Goniec Codzienny" w ręku mogę stwierdzić,
że:

1/ Józef Mackiewicz nie był "redaktorem",
"wydawcą" ani "pracownikiem" pisma "Goniec
Codzienny", jak to sugerują jego oskarżyciele.
Nie ma na to żadnego dowodu, a jak wiadomo
nie "oskarżony" ma udawadniać swoją niewin-
ność, ale oskarżyciele - jeśli chcą osiągnąć
skutek prawny - udowodnić muszą zarzut.
Stwierdzam, że tego zarzutu - podstawowego
- nigdy nie udowodnili.

2/ Moim zdaniem Józefa Mackiewicza trudno
nazwać nawet "współpracownikiem" pisma, skoro
po kilku wydrukowanych w roku 1941 tekstach
nastąpiła ponad roczna przerwa /dwa teksty
z 1943 roku ukazały się już po skazaniu pisa-
rza przez Sąd Specjalny/. Materiały zamiesz-
czone w 41 roku drukował zapewne kierując się
niecierpliwością i chęcią publicznego wyraża-
nia swego zdecydowanego, popartego doświad-
czeniem, antykomunizmu, czy antysowietyzmu.
Nie było w nich apoteozy faszyzmu, Hitlera
ani metod jakimi Niemcy podbijali świat. Pod-
kreślam ten fakt jako bardzo ważny, jeśli
porównać to, co pisał Mackiewicz, z publika-
cjami "polskich pisarzy radzieckich".

3/ W stosunku do Józefa Mackiewicza nie
są, moim zdaniem, prawdziwe również pozostałe
zarzuty nie poparte jakimkolwiek dowodem i
ogólnikowo sformułowane w piśmie "Niepodleg-
łość". Józef Mackiewicz nie zamieszczał żad-
nych artykułów "na zadany temat" ani nie "do-
rabiał komentarzy do ohydnych antypolskich
komunikatów". Nie zdradził też z całą pewno-
ścią interesów własnego narodu "za grube setki
i tysiące marek".

Istotnie był "filarem redakcyjnym "Gazety
Codziennej" - pisma, które wydawał przez kilka
miesięcy podczas litewskiej okupacji Wilna,
ale to już inna, oddzielna sprawa.

Czytelnicy dyskusji na temat "sprawy Józefa
Mackiewicza" mogą przekonać się łatwo, że każdy
wywód broniący pisarza przed zarzutem kolabo-
racji jego oskarżyciele odparowują powołując

się na sam fakt wydania wyroku. Skoro Józef Mackiewicz został skazany na śmierć przez Sąd Specjalny AK - był kolaborantem. Wszystkie niejasne okoliczności i niekonsekwencje tej sprawy są na ogół bagatelizowane, pomijane milczeniem lub interpretowane zgodnie z góry przyjętą tezą.

Chcę w tym miejscu podkreślić: wydrukowanie choćby jednego tekstu w prasie wydawanej przez Niemców, podczas niemieckiej okupacji mojego kraju, uważałbym za naganne, podobnie jak wydrukowanie czegokolwiek w piśmie wydawanym przez Rosjan, podczas sowieckiej okupacji Wilna i Lwowa. Jednakże wszelkie zaciętrzewienie w ocenach - w obu wypadkach - wydaje się również nie na miejscu.

Odrzućmy, oczywiście, niskie pobudki, jakie imputuje m.in. Mackiewiczowi anonimowy autor z "Niepodległości". Uważam, że ludzi, którzy drukowali w prasie sowieckiej może usprawiedliwiać obawa o życie własne i najbliższej rodziny. Po stronie niemieckiej, jeśli chodzi o Józefa Mackiewicza, ważne są daty. Większość swoich wypowiedzi w "Gońcu Codziennym" zamieścił on w okresie od lipca do października 41 roku - w ciągu pierwszych czterech miesięcy okupacji niemieckiej i - co warto podkreślić - bezpośrednio po koszmarnej okupacji sowieckiej. Józef Mackiewicz należał do ludzi, którzy wcześniej z metodami i realnym życiem pod niemiecką okupacją nie zetknęli się. Niemcy przynieśli "wyzwolenie" spod okupacji bolszewickiej - ich druzgocące uderzenie, impet tego uderzenia, paniczna ucieczka bolszewików - wszystko to musiało ludziom, którzy przeżyli długie miesiące koszmaru, wydać się niemalże darem opatrności. Refleksja i zastanowienie przyszły później. I Józef Mackiewicz dał temu wyraz choćby we wstrząsającym obrazie masakry Żydów z transportu pod Ponarami - myślę, że nie trzeba nikomu przypominać tego fragmentu powieści "Nie trzeba głośno mówić". Głęboko zapada w pamięć.

Po październiku 41 roku Józef Mackiewicz zamilkł. Dwa teksty wydrukowane w roku 43 stanowią raczej przypomnienie i ostrzeżenie,

czym grozi ponowna okupacja sowiecka. A groziła istotnie "piekłem wysp Sołowieckich" i Katyniem.

Biorąc pod uwagę przypomniane powyżej fakty - a więc daty ukazania się artykułów sygnowanych "J.M." w "Gońcu Codziennym" - uważam, że wyrok Sądu Specjalnego AK był tragiczną pomyłką.

Józef Mackiewicz stał się postacią niepopularną w Wilnie. Pamiętano jego "Gazetę Codzienną" wydawaną za czasów litewskich. Pamiętano artykuły z "Gońca Codziennego" drukowane w 41 roku. Prawdopodobnie słyszano, że jakiś Mackiewicz pracuje w redakcji "Gońca" - a że nie Józef? Na drobiazgowe badanie sprawy nie było zapewne czasu - wystarczyła zbirowa niechęć do człowieka, który wielokrotnie, publicznie, dawał wyraz swoim sprzecznym z przekonaniami ogółu, opiniom.

Kto /personalnie/, kiedy /dokładna data/, na jakiej podstawie /uzasadnienie/ ten wyrok wydał - tego do dziś nikt nie jest w stanie określić, ponieważ nie ma żadnego dokumentu, ale mimo to wszyscy oskarżyciele Józefa Mackiewicza zgodnym chórem powtarzają od lat: skazany wyrokiem Sądu Specjalnego na karę śmierci!

Z wykształcenia jestem prawnikiem. Uczono mnie w czasie studiów podstawowych zasad, obowiązujących w polskim prawie a wywodzącym się z prawa rzymskiego. Te zasady to m.in.: "wątpliwości przemawiają na korzyść oskarżonego", "ciężar dowodu /a więc udowodnienie określonych faktów / spoczywa na tym, kto dochodzi określonych skutków prawnych", "sprawa raz rozstrzygnięta prawomocnym wyrokiem nie podlega ponownemu rozpatrzeniu". Wszystkie te zasady w tzw. "sprawie Józefa Mackiewicza" były omijane i naruszane. Uważam, że dwie pierwsze nie były respektowane w chwili wydawania wyroku śmierci, chociaż niē sposób dziś tego udowodnić. Ale później też były omijane.

Jak wiadomo Józef Mackiewicz znalazł się po wojnie we Włoszech i tam doszło do roz-

patrzenia zarzutów przed honorowym Sądem Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Rzymie. Mackiewicz uznał kompetencję Sądu, wziął udział w rozprawie i uzyskał wyrok uniewinniający. Przytoczę fragment tego dokumentu, umieszczonego w broszurze "Pod pręgierzem" /wydanej nakładem Zarządu Głównego Koła Żołnierzy AK w Londynie/: "Jednocześnie Sąd po wysłuchaniu wniosku oskarżyciela, wycofującego oskarżenie z punktu 2 aktu oskarżenia, orzeka: Pana Józefa Mackiewicza dla braku dowodów, by kiedykolwiek i w jakikolwiek sposób pracował /podkreśl. K.O./ w okupacyjnej prasie niemieckiej, wydawanej w języku polskim uniewinnia się go od zarzutu, że w okresie od 1940 do 1944 pracował w prasie okupacyjnej niemieckiej, wydawanej w języku polskim, co nie licowałoby z godnością Polaka i zawodowego dziennikarza".

Zdawałoby się, że tak jasno i niedwuznacznie sformułowane stanowisko Sądu Dziennikarzy nie pozostawia wątpliwości i oczyszcza raz na zawsze autora "Kontry" z zarzutu kolaboracji, rozumianej jako praca w piśmie niemieckim. A jednak do sprawy rozstrzygniętej wyrokiem, od którego nikt wówczas nie odwołał się, przeciwnie, oskarżyciel wycofał oskarżenie w tym zasadniczym punkcie - powrócono, zażądano ponownego stawienia się przed sądem /tym razem przed Obywatelską Komisją Orzekającą w Londynie/, rozpoczęto publiczną rozprawę wydając broszurę "Pod pręgierzem", itd. Z prawnego punktu widzenia a także z punktu widzenia samego "oskarżonego", naruszono tym samym zasadę, zgodnie z którą sprawa raz rozstrzygnięta nie podlega ponownemu rozpatrzeniu. Zastanówmy się: czy ktokolwiek zgodziłby się na rozpatrywanie zarzutów przeciwko sobie w niekończącym się procesie, w którym gremia sądzące zmieniałyby tylko nazwy? Kto mógł zagwarantować, że sprawa przed Obywatelską Komisją Orzekającą będzie rzeczywiście ostatnią?

Autorzy listu zamieszczonego w numerze 35 "Pulsu" piszą: "...z treści jej /broszury "Pod pręgierzem" - przyp. K.O./ bowiem wynika

niezbicie, że Józef Mackiewicz był w czasie okupacji niemieckiej współredaktorem wydawanego przez okupanta /ściślejszej przez hitlerowski Propaganda Amt/ pisma gadzinowego "Goniec Codzienny", łączącego naród polski i wysławiającego hitleryzm, Niemcy i ich zwycięstwa." Twierdzenie to muszę uznać za przykład gołosłownego oskarżenia. Uważam, że "z treści broszury" nie może wynikać fakt "współredagowania" pisma "Goniec Codzienny" - wynikać on może tylko i wyłącznie z treści samego "Gońca" a takiego dowodu autorzy listu nie przeprowadzili. Zasada: "kto dochodzi skutków prawnych, na tym spoczywa ciężar dowodu" została i tym razem naruszona - podobnie jak w przeszłości, przez innych oskarżycieli.

Przedstawiciele Zarządu Głównego Koła Armii Krajowej odrzucają argumenty Kazimierza Zamorskiego /"Puls", nr 34/, kwestionują wiarygodność oświadczenia Sergiusza Piaseckiego, który przecież miał w rękach odwołanie wyroku skazującego Mackiewicza /a był człowiekiem, - który miał pisarza zabić!/. To, że w "Gońcu Codziennym" pracował ktoś o nazwisku Mackiewicz - ów często wspominany Bohdan - byłoby zapewne szczegółowo badane przez sędziów każdego normalnego sądu. Autorzy listu kwestię tę zbywają machnięciem ręki. Ale oto przecież jeszcze jedna z licznych wątpliwości, które, zgodnie z prawem, przemawiają na korzyść oskarżonego. Dlaczego tak łatwo są odrzucane?

Pisząc niniejszy szkic zastanawiałem się, czy warto tyle słów poświęcać argumentom, które "nie trafiają" do przeciwników pisarza? Może niektóre z nich zbyt rzadko i nie dość mocno były powtarzane? Należy do nich przede wszystkim sprawa wyjazdu Mackiewicza do Katynia w porozumieniu z AK. Autorzy listu opublikowanego w "Pulsie" pomijają ten fakt milczeniem. A przecież sprawa ta ma zasadnicze znaczenie, ponieważ w zasadniczy sposób podważa tezę, że Józef Mackiewicz był "kolaborantem niemieckim". Nie wysłała się "kolaboranta" z misją w tak istotnej dla kraju sprawie, w przełomowej i tragicznej dla narodu chwili.

Pominę relację samego Mackiewicza, który szczegółowo opisuje w jaki sposób uzyskał "delegację" z Komendy Wileńskiej AK /por. Józef Mackiewicz "Fakty, przyroda i ludzie", "Kontra", Londyn, 1984/. Powołam się na własną pamięć - na rozmowy, które pamiętam z dzieciństwa.

Przed wybuchem Powstania Warszawskiego miałem 8 lat. Byłem dzieckiem, ale z rozmów dorosłych zapamiętałem niektóre, wielokrotnie poruszane tematy, później także omawiane po wojnie. Dotyczyły kręgu osób związanych z moją rodziną. Mówiło się o tym, że jadąc do atynia i wracając stamtąd Józef Mackiewicz zatrzymywał się w Warszawie. Nocował w domu Antoniego Krahelskiego. Żoną Antoniego Krahelskiego była Halina Krahelska, znana socjalistka, w czasie okupacji działaczka podziemia - pracownik Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. Otóż zarówno moja matka, z którą jej brat, Józef Mackiewicz, widział się kilkakrotnie w Warszawie w roku 1944, jak i moja kuzynka, córka Stanisława Cata-Mackiewicza, Aleksandra Niemczykowa, która mieszkała wtedy u Krahelskich i była świadkiem całonocnych rozmów z Józefem przed i po jego powrocie z Katynia - słyszały od samego Mackiewicza, że jeździł tam w porozumieniu i na polecenie Ak-wileńskiego. Prawdopodobnie dzięki rodzinie Krahelskich Józef Mackiewicz złożył szczegółowe sprawozdanie przedstawicielom AK również w Warszawie, w lokalu przy ulicy Dąbrowskiego, na co powołuję się w swojej relacji.

O tym wszystkim wiedziałem z rozmów rodzinnych na wiele lat przed rozgłosem, jaki "sprawa Józefa Mackiewicza" uzyskała. Fakt działania pisarza w porozumieniu z AK, w tragicznej misji ustalenia prawdy o zbrodni katyńskiej, nie budził wtedy żadnych wątpliwości. Był oczywisty. Proszę zatem oskarżycieli Józefa Mackiewicza, aby wyraźnie odpowiedzieli na pytanie: był, czy nie był w Katyniu w porozumieniu z AK?

Warto przy okazji zastanowić się nad jeszcze jednym pytaniem: dlaczego tak ważny fakt,

że Józef Mackiewicz był jednym ze znanych świadków zbrodni katyńskiej oraz w niemałym stopniu przyczynił się do publicznego ujawnienia sprawców mordu - dlaczego postawa pisarza w tej jednej zasadniczej sprawie nie powstrzymuje jego oskarżycieli od szafowania słowem "kolaborant"? Pomijam to, że chodzi o wybitnego pisarza. Tej miary pisarze naprawdę bardzo rzadko pojawiają się w literaturze polskiej. To, że po latach milczenia odkryto pisarstwo Mackiewicza powinno być raczej powodem do radości a nie okazją do rzucania inwektyw. Ale ja tu przypominam tylko katyński epizod z jego biografii. I bronię tylko zdrowego rozsądku.

Jak wiadomo okupacyjne władze sowieckie w latach 1940/41 wywiozły z terenów wschodniej Polski ok. 1,5 miliona polskich obywateli, skazując na cierpienia i śmierć. Pozostałych poddano bezprzykładnej indoktrynacji. NKWD w okrutny i podstępny sposób zamordowała kilkanaście tysięcy polskich oficerów, który to fakt do dziś pozostaje niewyobrażalny dla mieszkańców cywilizowanego świata. Bolszewicy popełnili wiele innych zbrodni, o których społeczeństwo polskie dowiedziało się po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. A mimo to Armia Krajowa organizowała na terenach wschodnich akcję "Wachlarz", której zadaniem była dywersja na tyłach niemieckich. Otóż zgadzam się z Mackiewiczem, że z punktu widzenia polskiej racji stanu było to przykładem politycznej krótkowzroczności. Później wszystkie wydarzenia, poczynając od odkrycia grobów katyńskich, tragedia Powstania Warszawskiego, los oddziałów AK na terenach zagarniętych przez Armię Czerwoną, losy oficerów AK po wojnie, ofiary stalinizmu, los naszego kraju do dziś - wszystko można uważać za skutek tej krótkowzrocznej polityki, przed którą Józef Mackiewicz, jako jeden z nielicznych, ostrzegł. W oczywisty sposób natomiast nie potwierdzają te wydarzenia wszelkich prognoz optymistycznych: prób "dogadywania się" z komunistami, stawiania na ewolucję lub rewolucję - jednym

słowem niezego, z czym wiązali nadzieje przeciwnicy i oskarżyciele Mackiewicza.

Przechodząc od tej ogólnej refleksji do szczegółów muszę stanowczo zaprotestować przeciwko niektórym sformułowaniom listu przedstawicieli Zarządu Głównego Koła Armii Krajowej, panów M.Mandziary i J.Huczyńskiego /"Puls" nr 35/. Piszą oni: "Lżył Mackiewicz przywódców i żołnierzy AK wtedy, kiedy komuniści pokrywali mury polskich miast plakatami: "AK - zapłuty karzeł reakcji", gdy w więzieniu na Butrykach umierali: - ostatni dowódca AK i organizacji "Nie" gen. Leopold Okulicki. - delegat rządu Rzeczypospolitej, wicepremier Stanisław Jankowski, - członek Rady Jedności Narodowej Stanisław Jasiukowicz, a w więzieniu UB jej przewodniczący Kazimierz Pużak, - gdy w lochach bezpieki i NKWD rozstrzeliwano setki oficerów i żołnierzy AK, a inni ginęli powolną śmiercią w sowieckich łagrach". To połączenie nazwiska pisarza z powojenną martyrologią AK, uważam za chwyt demagogiczny nie licujący z godnością przedstawicieli Armii Krajowej. Nie zdziwiłbym się gdyby tym tonem zaatakowano Mackiewicza w "Trybunie Ludu", ale na łamach "Pulsu"?

Nieco dalej autorzy listu piszą: "Sam Mackiewicz nie wziął udziału w walce podziemnej z sowieckim okupaniem./.../ W tym czasie aż do napaści Hitlera na ZSRR Józef Mackiewicz siedział w swej posiadłości w Czarnym Borze pod Wilnem". A więc sugestia, że był tchórzem - nie walczył a później "lżył" tych, którzy walczyli? Muszę i ten fragment uznać za demagogiczny. Wyjazd pisarza do Katynia a później danie świadectwa prawdzie o zbrodni, uważam za dowód szczególnej odwagi, tym bardziej, że Józef Mackiewicz miał pełną świadomość tego jakimi metodami posługuje się NKWD. Jego udziału w wojnie 1920 roku, w której walczył jako ochotnik - ułan 13 Pułku - nie muszę przypominać. Choćby te dwa fakty podważają tezę autorów listu.

Również nie licuje z powagą Zarządu Głównego Koła Armii Krajowej sugestia zawarta w

kilku zdaniach poniżej cytowanych fragmentów: "Aresztowany przez NKWD, zwolniony został po przesłuchaniach i odesłany do domu, gdzie oczekiwał się nadejścia Niemców. Było to rzadkością, zwłaszcza jeśli się zważy, że już przed wojną Mackiewicz reklamował głośno swój antykomunizm". Czyżby sugestia załamania się i współpracy autora "Kontry" z NKWD? No, byłoby to absolutne "zwycięstwo prowokacji", ale w tym wypadku sugestia wywołuje tylko uśmiech.

Niechęć, aby nie powiedzieć nienawiść do Józefa Mackiewicza, wydaje się nieodłączną cechą wszystkich napastliwych publikacji. Jest to oddzielny temat, interesujący zwłaszcza dla psychologów, którzy mogliby, na podstawie analizy głosów o Mackiewiczu, opracować całe studium poświęcone temu ludzkiemu uczuciu.

Również w rozmowach często spotykałem się z niechęcią do autora "Zwycięstwa prowokacji". Tu wspomnę o jednej. Moim rozmówcą był człowiek, który przyczynił się do skazania Józefa Mackiewicza na śmierć - autor tekstu "Pod pręgierzem", zamieszczonego w AK-owskiej "Niepodległości". Mackiewicz wymieniał go później kilkakrotnie /w powieściach i publicystyce/, wymieniając z nazwiska i nazywając "bolszewickim agentem". Otóż dziwnym zbiegiem okoliczności człowieka tego poznałem podczas wyjazdu na spotkanie autorskie w jednym z miast zachodniej Polski. W rozmowie, którą mi zaproponował wiedząc, że jestem spokrewniony z pisarzem, potwierdził zarówno to, że napisał tekst "Pod pręgierzem", jak i to, że w latach 1940/41 pracował jako dziennikarz w "Prawdzie Wileńskiej". Właśnie dlatego Józef Mackiewicz nazwał go "bolszewickim agentem". Człowiek ten złożył na moje ręce coś w rodzaju protestu przeciwko temu pomówieniu. Przeciwno narażaniu jego dobrego imienia na szwank.

Cóż mogłem powiedzieć? Spotkanie miało miejsce na początku 1986 roku - Józef Mackiewicz nie żył już od kilkunastu miesięcy. Autor artykułu "Pod pręgierzem" przesiedział po wojnie kilkanaście lat w sowieckich łagrach.

Wrócił po 56 roku. Nie wierzę, aby był kiedykolwiek "bolszewickim agentem", ale to, że był dziennikarzem "Prawdy Wileńskiej" a później pisał dla AK-owskiej "Niepodległości" jest faktem. Czy Józef Mackiewicz nie miał podstaw do sądenia, że infiltracja sowiecka w szeregi AK jest oczywista? Sygnalizuję tę sprawę przeciwnikom Józefa Mackiewicza, którzy chętnie zarzucają mu obsesyjny stosunek do komunizmu. Również Jerzemu Surdykowskiemu, ponieważ w artykule "Trzeba głośno mówić" /"Krytyka", nr 26/ wyliczając przykłady obsesji, wspomina o nazwaniu "agentem bolszewickim" autora artykułu w "Niepodległości".

Nie jestem krytykiem literackim. Nie potrafię jako krytyk bronić Mackiewicza przed tymi wszystkimi, którzy o jego książkach piszą niechętnie. Nie ma zresztą potrzeby - te książki obronią się same. Mój sprzeciw budzi natomiast pogardliwy lub lekceważący ton, jaki wobec Józefa Mackiewicza przyjmują niektórzy pisarze polscy - także ci, których bardzo cenię. Przykłady znalazłem w ostatnim tomie "Miesięcy" Kazimierza Brandysa, w którym autor wspomina Józefa Mackiewicza dwukrotnie. W pierwszym wypadku pisze: "Proszę przeczytać, co Mackiewicz /Józef/ wypisywał o Pawle Jasienicy już po jego śmierci. Jak łatwo i z jaką przyjemnością wypowiada się słowa zdrada, hańba, podłość." Kazimierz Brandys nie mówi, gdzie konkretnie Mackiewicz zarzucał Jasienicy "zdradę, hańbę i podłość", ale czy przypadkiem nie chodzi o krytykę PAX-u i "Znaku" i ludzi tam działających, zawartą w "Zwycięstwie prowokacji"? Nie byłoby to więc po śmierci Jasienicy. A może chodzi o artykuł "Na drodze wielkiego ześlizgu" zamieszczony w "Wiadomościach" w roku 1977? Nie zgadzam się z tym, co Mackiewicz pisze na temat opozycji w Polsce ale w obu wypadkach nie znalazłem słów "zdrada, hańba, podłość".

W innym miejscu autor "Miesięcy" przeciwstawiając tych, którzy wnoszą do kultury polskiej prawdziwe wartości wyrываяc Polaków

40

z "przytulności zaścianka", tym którzy reprezentując kulturę "drobnomieszczańsko-sarmacką" nazywają siebie "prawdziwymi Polakami" - pisze: "A w sosie wyłącznie macierzystym pływają z zapalem miłośnicy Wańkowicza, Mackiewicza /Józefa/ i poniekąd również ci od Żukrowskiego. Co tam dla nich niemiecko-żydowski paryżanin Heine... Pocieszające, że mnie w tym sosie nie ma i nie będzie."

Znów muszę protestować. Wypowiedzenie jednym tehem nazwisk Mackiewicza i Żukrowskiego jest nieporozumieniem, które tłumaczę sobie zupełną nieznajomością twórczości Józefa Mackiewicza. Można powiedzieć, że Józefa Mackiewicza nie obchodziły sprawy "macierzyste" tak dalece, że zarzucono mu "kolaborację". Na ten temat pisał w ostatnich zdaniach "Sprawy pułkownika Miasejedowa" tak: "Czytelnik polski przyzwyczajony, że po polsku pisze się prawie wyłącznie o Polakach, może wziąć mi za złe zarówno wybór osób jak tematu, który mnie zafrapował. W moim jednak przekonaniu, inni ludzie, nie tylko Polacy, są też ludźmi."

To przekonanie najdobitniej udowodnił pisząc "Kontrę".

O Józefie Mackiewiczu myślę przede wszystkim jako o pisarzu - nie publicyście. Tymczasem wielu ludziom, jak się zdaje, publicystyka przesłania obraz wielkiej prozy. Józef Mackiewicz nigdy nie wymyślał rzeczywistości ani postaci. O komunizmie pisał komunizm o bolszewikach - bolszewicy, o zbrodni - zbrodnia. Był absolutnie nieczuły na wieloznaczność, na grę, pozę, na piękne pisanie kosztem pisania prawdy. W swoich książkach nie krygował się, nie mizdrzył, nie udawał. Chłodnym okiem patrzył na ludzi i otaczającą go rzeczywistość. I mówił prawdę w oczy. Są to przymioty niemożliwe i niechętnie dostrzegane przez wielu krytyków, dla których im więcej w literaturze zasłon dymnych, tym bardziej jest ciekawa. Mackiewicz nie umiał tak pisać, ale za to zostawił w swoich książkach prawdziwy obraz wileńszczyzny pod okupacją sowiecką i niemiecką. Prawdziwy obraz wojny. Jestem

przekonany, że ten obraz - bez złudzeń, bez poży upiększeń i gry - zostanie w literaturze polskiej.

Na koniec powtórzę anegdotę. Hemar po zamieszczeniu entuzjastycznej recenzji w "Wiadomościach" z "Lewej wolnej" otrzymał listy z protestami. Autorzy listów, byli oficerowie Wojska Polskiego, protestowali przeciwko pochwalnej recenzji z książki, która ich zdaniem szkalowała mundur żołnierza polskiego i pamięć marszałka Piłsudskiego. Hemar przypomniał w odpowiedzi epizod z własnej biografii. Jako żołnierz II Korpusu zajmował się redagowaniem audycji radiowych dla żołnierzy. Teksty składał do cenzury pewnemu majorowi. Kiedyś, w rocznicę września, zaniósł tekst, w którym major zakwestionował słowo "klęska". - Niech pan napisze "porażka". Hemar nie chciał się zgodzić tłumacząc, że trudno klęskę 39 roku nazwać "porażką". Uprzejmy i pogodny zwykle major nagle nasrożył się i krzyknął: - Strzelec Hemar, baczność! - Następnie wydał rozkaz: - Napiszcie "porażka!"

- Rozkaz, panie majorze! - odpowiedział Hemar.

Otóż naprawdę wydaje mi się czasem, że w tak zwanej "sprawie Józefa Mackiewicza" ktoś kiedyś również krzyknął: - Nazwać Mackiewicza kolaborantem!

- Rozkaz! - odpowiedzieli przeciwnicy Mackiewicza chórem.

I wykonują ten rozkaz do dziś.

1988

PS. Już po napisaniu niniejszego szkicu przeczytałem w "Pulsie" /nr 36/ kolejny list p. Mandziary. Autor powołuje się na naocznych świadków, którzy twierdzili, że Józef Mackiewicz "był nie tylko autorem artykułów podpisywanych J.M., ale także innych, nie podpisanych". Pan Mandziara wymienia jednego świadka - p.T.Jurgielewiczową, oficera AK, która "z polecenia swoich przełożonych /Inspektoratu AK, E.Klon/ pracowała w "Gońcu Codziennym" jako tłumaczka od lipca 1941 do lutego 1942 roku."

Na marginesie uwaga: "Inspektorat AK" nie mógł wydawać poleceń w roku 1941 ponieważ, jak wiadomo, Armia Krajowa powołana została rozkazem generała Sikorskiego w lutym 1942 roku - mogła więc to być komórka Związku Walki Zbrojnej, jeśli działała w Wilnie w lipcu 1941 roku, bezpośrednio po uderzeniu niemieckim. Dlaczego jednak p. Mandziara nie udokumentował dokładnie nowego zarzutu? Znowu mamy do czynienia z powoływaniem się na to, co ktoś wie, powiedział lub słyszał. Jakie niepodpisane artykuły zamieszczał Józef Mackiewicz w "Gońcu Codziennym"? Kiedy? Proszę o przykład, który będzie można sprawdzić. Dlaczego p. Mandziara nie zacytował oświadczenia p.T. Jurgielewiczowej, złożonego "w piśmie z dnia 15.2.48" w Studium Polski Podziemnej w Londynie, na które to oświadczenie powołuje się? Dlaczego p.T.Jurgielewiczowa sama nie zabrała głosu, póki żył Józef Mackiewicz?

Myślę, że wszystkie te pytania wymagają jasnych odpowiedzi. Im cięższe są oskarżenia, tym bardziej niepodważalne muszą być dowody.

Kazimierz Orłóś



TZVETAN TODOROV

DIALOGIZM I SCHIZOFRENIA

Dialogizm, określenie nieco pretensjonalne, oznacza podwójność głosów dających się słyszeć w każdej wypowiedzi /"énoncé"/, wielość dyskursów charakterystyczną dla wszystkich podmiotów mówiących. Jego obecność w moim tytule jest także formą oddania czci myślicielowi sowieckiemu Michałowi Bachtinowi, który pierwszy wprowadził to określenie i tyle uczynił dla zbadania problemu. Sprawy, jakie chciałbym tu poruszyć, mają związek nie z samą strukturą dialogizmu, lecz z systemem wartości jemu przypisanym, a także z jego oceną.

W nie bardzo odległej jeszcze przeszłości wszystko, co wiązało się z tym właśnie, co dziś nazywamy dialogizmem, było przyjmowane

z dezaprobatą. Zbędne wydaje mi się przypominanie inwektyw Gobineau skierowanych przeciwko rasom mieszanym, czy Barres'a - przeciwko ludziom wykorzenionym. Przytoczę raczej, jako ciekawostkę, nieco późniejsze zdanie Malraux, podpierającego się zresztą innym autorytetem: "Pułkownik Lawrence mówił z własnego doświadczenia, że człowiek rzeczywiście należący do dwóch kultur... traci swą duszę". Jeśli nie zatrzymuję się nad tego typu stwierdzeniami, to nie dlatego, że przestały one istnieć, czy że pozycje, z których są wypowiedzane, straciły na sile, lecz dlatego, że nie znajduję z nimi wspólnej płaszczyzny, a zatem nie mogę podjąć żadnego istotnego dialogu. Gdybym już musiał to zrobić, sprowadziłoby się to do ich przedstawienia, pokazania palcem z ostentacyjnym oburzeniem czy z intencją satyryczną. Ale odmawiam tego dialogu także z innego powodu, bardziej zasadniczego: otóż mimo ich obecności dziś, a nawet częstotliwości, uważam, że z historycznego punktu widzenia stanowiska takie należą już do przeszłości. Są one elementami wielkiego patriotycznego uniesienia państw burżuazyjnych, które jeszcze co prawda nie minęło, ale którego koniec można już dostrzec chociażby na planie ideologicznym. Kto w dzisiejszych czasach zrezygnowałby z powoływania się na dialog, zróżnicowanie kulturowe, tolerancję dla innych? Deklaracje rządowe pokrywają się w tym względzie z żądaniami awangardy artystycznej.

Jeśli wspominam tę ostatnią, to dlatego, że istnieje rodzaj euforii rozdwojenia, w grupach, które same siebie określają jako należące do awangardy, tak przynajmniej jest we Francji. A i książek namnożyło się ostatnio, mówiących o urodzie rasy mieszanej, namiętnie sławiących kosmopolityzm i "wielojęzyczność" Praktykę dyskursywną /"l'écriture"/ definiuje się ochoczo jako przekraczanie granic, jako wędrówkę i wygnanie. U jednego z epigonów tej formacji myślowej czytam wezwanie do pisarzy, żeby "rzucili się w wir nieograniczonej poli-

fonii, dla której każdy język jest obcy, dla której język jako taki nie istnieje". /G. Scarpetta: "Eloge du cosmopolitisme", Grasset 1981, s. 183/. Chciałbym za punkt wyjścia obrać właśnie tę nową opinię na temat powszechnej polifonii, uniwersalnego pomieszania języków, bezwarunkowej waloryzacji konglomeratu, i to nie dlatego, żebym wolał postawę przeciwną i chciał sławić Gobineau czy Barrés'a, lecz żeby sprawdzić znaczenie i dokładność tych stwierdzeń, powstrzymując się przy tym od mówienia o literaturze.

Pierwszą sprawą, o jakiej chciałbym mówić w tym kontekście, jest forma dysydencji biernej, charakterystyczna dla większości mieszkańców państw totalitarnych. I ja byłem w takiej sytuacji, lecz od tej pory minęło osiemnaście lat. Tłumaczy to formę wypowiedzi, jaką wybrałem, raczej bezosobową, gdyż dziś przyjęcie tamtej postawy nie jest już dla mnie możliwe. Pamięć moja dokonała bowiem pewnego uogólnienia, traktując zamiennie moje własne doświadczenia z doświadczeniami moich bliskich, a nawet z obrazami zaczerpniętymi z lektur. Sytuacja polega na tym, że mamy do wyboru dwa rodzaje dyskursów: publiczny i prywatny. Dyskurs publiczny to ten, który upowszechnia telewizja, radio, prasa; słyszymy go na zebraniach politycznych; to on właśnie musi być stosowany we wszystkich sytuacjach oficjalnych. Dyskurs prywatny wykorzystujemy natomiast w domu, wśród przyjaciół i w tych wszystkich dziedzinach, których ideologia nie dotyczy "od wewnątrz", jak sport czy łowienie ryb. Oba te dyskursy charakteryzują się dążeniem do ogarnięcia całości podobnym do tego, jakim odznaczają się oba języki człowieka dwujęzycznego. Różnią się między sobą słownictwem, trochę też składnią, ale przede wszystkim zasadą ich funkcjonowania. Dyskursem prywatnym rządzi wymóg, który można by określić jako prawdę całkowitej zgodności: poszczególne wypowiedzi powinny opisywać świat lub postawę podmiotu mówiącego w sposób jak najbardziej dokładny. Dyskursem publicznym zaś rządzi konieczność

poszukiwania prawdy przyporządkowanej: wypowiedź, jeśli ma być uznana, nie jest konfrontowana z doświadczeniami sprawdzalnymi, lecz z innymi wypowiedziami, wcześniejszymi, ogólnie znanymi i uznanymi za słuszne.

Żeby lepiej określić zasięg tej szczególnej sytuacji, chciałbym porównać ją do innych, zbliżonych do niej. Pierwszą, o której będziemy mówić, nazwiemy słowem zapożyczonym od Orwella: "doublethink", "dwój-myślenie". W powieści "1984" Orwell tym właśnie słowem nazywa wprowadzoną przez partię technikę manipulacji świadomością. Partia, z powodów taktycznych nierozłącznie związanych ze stosowaną formą dyktatury, używa często sprzecznych ze sobą sformułowań, deklarując jednocześnie niezmienną i całkowitą koherencję swoich poglądów. Jak można pogodzić oba te akty mowy? Właśnie dzięki technice dwój-myślenia. Oto jeden z Orwellovskich opisów tej techniki: "Wiedzieć i nie wiedzieć - być świadomym prawdy mówiąc starannie opracowane kłamstwo - hołdować równocześnie dwu opiniom wykluczającym się nawzajem, zdawać sobie z tego sprawę, i mimo to obie uważać za słuszne - walczyć logiką przeciwko logice - odrzucać wszelką moralność w imię moralności..."¹. Przypomina nam to dziwnie inny opis, pochodzący od Bertolda Brechta, piewcy a nie przeciwnika reżimu totalitarnego: "Kto walczy za komunizm /musi umieć bić się i nie bić się /mówić prawdę i jej nie mówić/ oddać przysługę i odmówić jej oddania /dotrzymywać obietnic i ich nie dotrzymywać /wystawiać się na niebezpieczeństwo i uciekać przed nim/ dać się poznać i pozostać niewidzialnym". Jednym słowem, ta "technika" pozwala zrezygnować z zasady niesprzeczności, utrzymywać, że istnieje koherencja tam, gdzie w istocie króluje jej brak. Stojąc przed dwoma możliwościami nie do pogodzenia: z jednej strony wypowiedzi sprzeczne ze sobą, a z drugiej - wymóg niesprzeczności, partia wybiera możliwość drugą, nie potwierdzając jednak tym samym sprzeczności, lecz

przyzwyczajając umysł do ich niedostrzegania tam, gdzie dotyczą one polityki partii.

Inne skojarzenie przychodzące na myśl dotyczy już dysydencji aktywnej, a nie biernej. Stojąc przed dwoma faktami nie do pogodzenia, niekoherencją świata i koherencją myśli, partia wybiera działanie w duchu tej drugiej. Tymczasem dysydenci dokonują przeciwnego wyboru: utrzymując integralność myśli, ujawniają sprzeczności świata, w którym żyją. Stąd już blisko do problemu opisanego przez samego Bachtina /czy też przez jego współpracownika i przyjaciela - Wołoszynowa/. W opublikowanym w 1930 roku studium zatytułowanym "Struktura wypowiedzi" - Bachtin i Wołoszynow uważali się wówczas za ortodoksyjnych marksistów - analizują oni "dialogowy charakter dyskursu wewnętrznego", a następnie zastanawiają się nad jego formą w pewnym sensie patologiczną, mianowicie taką, gdzie głosy wewnętrzne, zamiast harmonii ze stałymi i precyzyjnymi wyborami ideologicznymi, szukają uzasadnień jedynie w przypadkowych związkach z aktualną sytuacją /przez dążenie do prawdy całkowitej zgodności?/. "W warunkach społecznych szczególnie niekorzystnych takie oddzielenie osoby od środowiska ideologicznego, w którym ona żyje, może w konsekwencji doprowadzić do całkowitego rozkładu świadomości, do szaleństwa lub demencji" /zob. M.Bachtin: "Le principe dialogique", Seuil 1981, s. 109/.

"Nieograniczona polifonia" prowadziłyby więc do schizofrenii, jeśli przez słowo to rozumiemy, zgodnie z powszechnie przyjętym znaczeniem, rozdwojenie osobowości, brak spójności umysłowej, oceniany jako cierpienie. Dwój-myślenie jest także rodzajem szaleństwa, skoro opiera się na zaakceptowaniu niekoherencji, czytaj: sprzeczności. Działo to jak szczepionka, której partia chciałyby poddać nas wszystkich, ażeby niekoherencja myśli harmonizowała z niekoherencją świata: w ten oto sposób bylibyśmy uodpornieni. Ale obie strony różnie definiują szaleństwo: podczas gdy Orwell i dysydenci określają szaleństwo

- a widzą je wyrażnie w polityce partii - za pomocą kryterium wewnętrznego i jakościowego /sprowadza się to, ich zdaniem, do akceptacji sprzeczności/, to partia utożsamia szaleństwo z dysydentami /skoro zamyka ich w szpitalach psychiatrycznych/ za pomocą kryterium zewnętrznego i wyłącznie ilościowego: dysydenci nie myślą tak, jak wszyscy powinni myśleć, a zatem mogą być tylko szaleńcami. Być przeciwnie reżimowi znaczy być przeciwko normie, a to znaczy być anormalnym.

Narzucane przez partię dwój-myślenie wymaga, aby istniał tylko jeden rodzaj dyskursu, dominującego nad całym życiem człowieka, przy czym dyskurs ten musi akceptować sprzeczności w jego własnym funkcjonowaniu. Dysydent aktywny, ze swej strony, używa też jednolitego dyskursu we wszelkich możliwych okolicznościach, ale dyskurs ten ujawnia sprzeczności i niekoherencje świata, bo sam jest zarazem podporządkowany zasadzie niesprzeczności. Tymczasem dysydent bierny dysponuje dwoma rodzajami dyskursów, na ogół wzajemnie sprzecznych, z których jednak każdy jest całkowicie koherentny z kontekstem, w jakim jest używany. Pierwszy dyskurs zna tylko prawdę przyporządkowaną, drugi - jedynie prawdę całkowitą zgodności. Dyskurs dysydenta biernego uznaje na przemian, obie te prawdy.

To, co opisuję jest sytuacją modelową. W praktyce jest to sprawa dużo bardziej złożona, nawet jeśli struktura ogólna zachowuje swą ważność. Potraktowałem, z jednej strony - partię, z drugiej - dysydenta biernego i aktywnego, jak byty wyraźnie oddzielne. W rzeczywistości takie przeciwstawienia są łatwe, gdy dotyczą dyskursów, lecz dużo bardziej problematyczna, jeśli je zastosować do konkretnych osób: członek partii ma, oczywiście, do dyspozycji zarówno dyskurs publiczny jak i prywatny, podobnie zresztą funkcjonariusze partyjni /członkowie tego, co Orwell nazywa "partią wewnętrzną"/. Lecz granice między tymi dyskursami nie przebiegają jednakowo tu i tam. Sama granica między prywatnym i publicz-

nym bywa ruchoma: istnieje ogromna różnica między słowami wypowiedzianymi z trybuny zjazdowej a wymianą zdań z kolegami w pracy, mimo że obie sytuacje są publiczne. Czasem dyskurs publiczny dotyczy interpretacji filmów, książek, faktów historycznych, kiedy indziej - rozciąga się na sprawy osobiste: można kochać czy być przyjacielem tylko w jeden jedyny właściwy sposób? Prawda całkowitej zgodności, którą uważa się za podstawową dla dyskursu prywatnego, bywa często jedynie prawdą i n n e g o przyporządkowania, wcześniejszego lub zewnętrznego wobec sytuacji. Totalitaryzm, jaki możemy obserwować dzisiaj, nigdy nie jest naprawdę totalny: stwierdzamy jego zasadniczą obecność, dostrzegając zarazem jego tysiąc i jedną niekoherencję, można by powiedzieć - jego "niedoskonałości".

Tak więc do wyjątków zaliczymy sytuację, gdy w rozmowie dwóch osób obie strony użyją jednorodnego - wspólnego - dyskursu, lub, przeciwnie, użyją dyskursów diametralnie różnych. Bowiem w rzeczywistości spotykają się zawsze dwie różne hierarchie dyskursów, często podobne, ale nigdy identyczne. Zupełnie uderzający jest fakt, że przejście od jednego dyskursu do drugiego, dobór słownictwa - wszystko to każdy ma doskonale opanowane, mimo że nie tylko nie uczył tego w szkole, ale rzecz nawet nigdy nie została nazwana. Można więc przypuszczać, że poza ogólną zasadą wypowiedzi istniejącą w każdym z dyskursów, publicznym i prywatnym, istnieje jeszcze zasada regulująca, która decyduje o dawce tego co publiczne i prywatne, wprowadzanej do tej czy innej wypowiedzi.

Jednakże taki podział, charakterystyczny dla dysydencji biernej, i stanowiący zdrową reakcję na sytuację schizofreniczną, może ulec zachwianiu. Zagroza mu zatarcie się starannie ustalonych granic, zawalenie się hierarchii dyskursów. Bo jeśli zasada regulująca zawiedzie w prawidłowym rozpoznaniu tego, co publiczne a co prywatne, to wszystko stracone: podmiot popada w szaleństwo nie kulturowe,

lecz osobowościowe - doświadczenie mniej ważne z historycznego punktu widzenia, lecz o ile bardziej bolesne dla jednostki. Nie mogąc już znieść stanu napięcia jakiego wymaga nieustanne przełączanie się na różne obiegi, człowiek przestaje się kontrolować i wówczas dyskurs publiczny opanowuje jego świadomość prywatną, co z kolei wywołuje nagłe wrażenie klęski, niezmywalnej skazy. W świecie stworzonym w oparciu o ideał jedności, zachowanie podwójności jest zgubne, a odejście od niej, jako że była raczej narzucona niż przyjęta dobrowolnie, czyni nawet minimalną koherencję - niedostępną. Być może tym właśnie człowiek z kraju totalitarnego różni się od ludzi z innych krajów: nie, żeby ci ostatni nie znali rozwarstwienia dyskursu na prawdę całkowitą zgodności i prawdę przyporządkowaną, jednakże kara za naruszenie reguł, za niewczesne zakłócenie gry, jaka ich może tu spotkać, jest nieporównywalnie mniej dotkliwa.

Przechodzę od razu do drugiego przykładu z praktyki dialogizmu: do doświadczenia, które jest aktualnie moim udziałem. Fakt, że zamieniam się w przykład, wymaga może kilku wyjaśnień; oto i one. Urodzony w Bułgarii, mieszkam we Francji od 1963 roku. W maju 1981 z okazji kongresu bułgarystyki, dokładnie 18 lat od chwili wyjazdu, pojechałem po raz pierwszy, na 10 dni, do mojego rodzinnego kraju. Dla uściślenia dodam, że zatrzymałem się u moich rodziców, w domu, w którym mieszkałem przedtem.

Opisuję więc doświadczenie wygnańca wracającego do swego kraju po długiej nieobecności /wyjaśniam, że jestem wygnańcem "okolicznościowym", ani politycznym, ani ekonomicznym/. Jednak dzięki serii przypadków doświadczenie to sprowadza się do czegoś w rodzaju paroksyzmu, dlatego właśnie chcę je zanalizować. Są ludzie, którzy schodzą do jaskiń, aby obserwować reakcje organizmu w wyjątkowych warunkach. Pozwala to potem na lepsze poznanie jego normalnego funkcjonowania. Zupełnie niechcący, podczas tych dziesięciu majowych dni, byłem

obiektem niezwyklego eksperymentu: nie zejście na głębokość 1800 m pod ziemię, lecz powrót do miejsca opuszczonego 18 lat wcześniej. Wyjątkowe warunki są tu następujące: czas trwania nieobecności; sytuacja całkowitego odcięcia podczas tych osiemnastu lat /nie ma wspólnoty bułgarskiej w Paryżu, albo też nie poznałem jej z braku zainteresowania, wymiana informacji między Sofią i Paryżem, przez "żelazną kurtynę" jest trudna; brak ciągłości między Paryżem i Sofią jest faktycznie większy niż np. między Paryżem i Rabatem/; wreszcie, zanurzenie się podczas tych 10 dni w dokładnie tym samym, co przed 18 laty, kontekście materialnym. Oto dlaczego, choć nie odczuwam szczególnego zainteresowania dla własnej osoby, czuję się niemal zobligowany do spisania teraz moich wrażeń.

Wygnaniec powracający do kraju rodzinnego nie jest wcale podobny do cudzoziemca przyjeżdżającego z wizytą, ani nawet do cudzoziemca, którym był on sam w początkowym okresie swego wygnania. Kiedy przyjechałem do Francji w 1963, nic jeszcze o tym nie wiedziałem. Byłem cudzoziemcem wśród społeczności francuskiej, która dopiero stopniowo stawała mi się bliska. W moich kontaktach z nią nigdy nie nastąpił gwałtowny skok, a jedynie niezauważalne przejście od pozycji "outsidera" do pozycji "insidera" /"out i in"/, a także "od" i "do" traktuję oczywiście jako wartości względne/. I oto pewnego dnia uświadamiam sobie, że nie jestem już cudzoziemcem, a w każdym razie już nie w tym sensie, w jakim byłem nim przedtem. Mój drugi język zastąpił pierwszy bez zgrzytów, bez gwałtu, w miarę upływu czasu. Tymczasem przy powrocie z wygnania dzieje się coś zupełnie odwrotnego. Odkrywa się nagle, że dnia na dzień, że oto posiada się wewnętrzny ogląd świata pochodzący z dwóch kultur, z dwóch różnych społeczeństw. Wystarczy, że znajdę się w Sofii, aby wszystko natychmiast stało się mi w niej bliskie. Proces wstępnej adaptacji okazuje się więc w tym wypadku,

zbyteczny. Bułgarski jest mi równie znajomy jak francuski, i mam poczucie przynależności do każdej z tych dwóch kultur.

Powie ktoś, że oto mamy idealne warunki dla Tożwoju dialogu wewnętrznego, dla uzyskania korzyści z dwujęzyczności, gdyż jest się naraz ponad wszelkimi nieporozumieniami i pozostaje tylko korzystać z niewątpliwego wzbogacenia swojego językowego uniwersum. Jak chciał tego Bachtin /w innych, niż wyżej cytowany, tekstach/, i jak chcą tego dziś rzecznicy nieograniczonej polifonii, żaden z dwóch dyskursów, żaden z dwóch języków, nie wchłania w siebie drugiego na zasadzie całkowitego podporządkowania. Żyłem więc w stanie euforycznej dysharmonii. Mówimy chętnie, traktując to jako przenośnię: wśród Francuzów czuję się Francuzem, wśród Amerykanów - Amerykaninem, wśród Marokańczyków - Marokańczykiem. I odczuwamy przy tym pewną dumę, że oto posiadamy zdolność ukazywania różnych stron naszej osobowości, i rozumienia bliźniego aż po całkowitą z nim identyfikację. Ta przenośnia mogła stać się prawdą: mogłem być Francuzem wśród Francuzów i Bułgarem wśród Bułgarów. Każda z moich dwóch osobowości mogła realizować się w jednym z dwóch znanych mi języków. Tymczasem, o ile mogę mieć różne wątpliwości analizując moje doświadczenie powrotu do rodzinnego kraju, o tyle jedna rzecz wydaje mi się pewna ponad wszelką wątpliwość: że doświadczyłem wyłącznie uczucia niepokoju i psychicznej presji. To właśnie ten niepokój, tę trudność chciałbym nie tyle wytłumaczyć, co opisać. Aby uniknąć nieporozumień, dodam natychmiast, że powód niepokoju, o którym chcę mówić, nie jest - jak mi się wydaje - natury politycznej w ścisłym sensie tego słowa, tj. nie wiąże się z różnicą systemów politycznych we Francji i Bułgarii; nie o problemie cenzury chciałbym tu mówić.

Miałem przeczucie tego niepokoju jeszcze przed wyjazdem do Sofii, kiedy przygotowywałem wypowiedź na kongres, na który byłem zaproszony. Ponieważ tematem spotkania była "Bułgaria",

byłem zmuszony ustosunkować się jakoś do problemu nacjonalizmu. Uważałem /oczywiście upraszczam sprawę/, że autochton nigdy nie ma jasnego spojrzenia na swoją własną tożsamość, że historia narodu nigdy nie jest tylko sumą zewnętrznych wpływów, jakim był on poddany, że w każdym razie lepiej jest żyć teraźniejszością, niż próbować ożywiać przeszłość. Jednym słowem, że nie ma wielkiego sensu zamykanie się w tradycyjnych wartościach narodowych. Pisałem to wszystko bez wahania. Trudności pojawiły się w momencie, gdy zacząłem tłumaczyć to wystąpienie, napisane w moim języku przybranym /francuskim/ na język rodzimy /bułgarski/. I nie był to problem wyłącznie słownictwa czy składni, lecz problem zmiany domniemanego adresata spowodowany zastąpieniem jednego języka - drugim. Wtedy stało się dla mnie jasne, że intelektualści bułgarscy, do których ta wypowiedź miała być adresowana, nie mogą przyjąć znaczenia, jakie chciałem nadać moim słowom. Krytyka przywiązania do wartości narodowych nie wszędzie znaczy to samo, w zależności od tego, czy mieszka się w małym kraju pozostającym w orbicie wpływów innego - większego, czy też mieszka się za granicą, w kraju, gdzie jest się - faktycznie lub nie - poza wszelkim niebezpieczeństwem grożącym ze strony silniejszego sąsiada. Paryż jest niewątpliwie miejscem sprzyjającym entuzjastycznemu odrzuceniu wartości nacjonalistycznych, ale Sofia - mniej się do tego nadaje.

Na niższym poziomie problem ten znany jest wszystkim mówcom i pisarzom: modyfikuje się dyskurs w zależności od domniemanego słuchacza lub czytelnika. Tylko że modyfikacja, jaką sugerowali moi domniemani słuchacze, była czymś znacznie większym: należało całkowicie zastąpić twierdzenie przez jego negację. Rozumiem stanowisko intelektualistów bułgarskich i na ich miejscu zająłbym prawdopodobnie takie samo. Ale nie jestem na ich miejscu, mieszkam w Paryżu a nie w Sofii i myślę coś zupełnie przeciwnego. Tylko jak im to powiedzieć?

Udawać, że mam już tylko moją obecną osobowość francuską i przedstawić swoją opinię nie uwzględniając tego, co wiem o ich reakcjach? Ależ to uniemożliwiłoby mi potwierdzenie mojego, ciągle istniejącego, wewnętrznego dostępu do kultury bułgarskiej. A więc mówić tak, jakbym nigdy nie wyjechał z Sofii? To z kolei równałoby się przekreśleniu ostatnich osiemnastu lat mojego życia. Spróbować połączyć oba stanowiska, znaleźć pozycję neutralną? Ale nie można łączyć bezkarnie "A" i "nie-A". Przemilczmy jednak ciąg dalszy tej historii...

Nipokój pojawił się w innej formie w czasie moich rozmów z przyjaciółmi w Sofii. Na przykład: ktoś uskarża się na swoje warunki życiowe. Kiedy coś podobnego zdarza mi się w Paryżu, mogę poddać mojemu rozmówcy całą gamę sugestii. Są one mniej lub bardziej przekonujące, ale siłą rzeczy zbudowane są na tej samej, wspólnej, podstawie egzystencji. Z tego też powodu mój interlokutor chce mnie słuchać. W Sofii jednak jest zupełnie inaczej. Gdy próbuję "wejść w skórę" mojego rozmówcy, a tym samym w skórę mojej osobowości bułgarskiej, proponuję typowo "bułgarskie" rozwiązanie problemu. I czuję, że słucha mnie on z niedowierzaniem: gdyby to było takie proste - zdaje się mówić jego sceptyczne milczenie /lub mówi czasem jego głos/ - to czemu nie zostaniesz tu, żeby wypróbować te twoje własne metody? Ale przecież nie mogę - mimo wszystko - powiedzieć w tej sytuacji: "Oh, wiesz, twoje problemy... Ja, w poniedziałek, odlatuję do Paryża"... Choć jest to prawda! I mam ochotę ją powiedzieć dlatego, że nie umiem rozwiązać tego problemu, albo z samej chęci wypowiedzenia jej na głos, by móc uciec przed tym sceptycznym uśmieszkiem. Nie, tego powiedzieć nie mogę nie tylko dlatego, że to niegrzecznie, ale również dlatego, że znaczyłoby to zająć stanowisko wyłącznie z punktu widzenia mojej osobowości francuskiej, a więc tego, który jest w Sofii tylko przejazdem. A może mógłbym połączyć oba stanowiska? Mimo że jestem jednocześnie Francuzem i Bułgarem,

mogę być tylko w Paryżu, albo tylko w Sofii - jednoczesna obecność w dwóch różnych miejscach nie jest mi jeszcze dostępna. Tymczasem to, co mówię, zbyt zależy od miejsca wypowiedzi, aby fakt, że znajduję się tu czy tam, uznać za obojętny. Jedynym rezultatem mojej podwójnej przynależności jest więc, moim zdaniem, to, że odbiera autentyczność każdemu z moich dwóch dyskursów, gdyż każdy z nich odpowiada tylko połowie mojej osoby: a przecież w rzeczywistości jestem naprawdę podwójny. Więc znów zamykam się w przytłaczającym milczeniu.

W trakcie innych rozmów zauważam, że w odpowiedzi na pytania o życie we Francji mówię chętnie wyłącznie o tym, co podobne jest do życia w Bułgarii, lub o tym, co funkcjonuje źle /często obie te rzeczy pokrywają się: biurokracja, koterie, nepotyzm.../. Natomiast wszystko, czym mógłbym się chwalić, nie przechodzi mi przez gardło. Dlatego, że w pierwszym przypadku zajmuję pozycję dostępną zarówno dla mojej osobowości francuskiej jak i bułgarskiej, natomiast w drugim - mówię przede mną tylko Francuz. Będąc jednak jednocześnie Bułgarem, staram się zrozumieć położenie moich rozmówców, i cierpię z powodu ograniczeń, które na mnie ciążą. Podwójne słowo jeszcze raz okazuje się niemożliwe, a ja zostaję przecięty na dwie połowy, obie nierzeczywiste.

Starzy przyjaciele, których spotykam, uważając zapewne, że sprawia mi przyjemność, a może nawet szczerze, mówią: Ale ty się w ogóle nie zmieniłeś! Jesteś taki jak dawniej! Tylko że mnie nie jest przyjemnie to słyszeć. Bo w ten sposób neguje się te ostatnie 18 lat, udaje się, że ich w ogóle nie było, tak jakbym przez ten czas nie zdobył mojej drugiej osobowości. Matka przechowała w szufladzie parę moich butów i daje mi je, żebym mógł popracować w ogrodzie: zakładam je, nie ma wątpliwości, to na pewno moje buty, są zdeformowane w tym samym miejscu co wszystkie moje buty i pasują doskonale. Wszyscy poznają mnie i akceptują, wracamy do rozmów przerwanych przed

osiemnastu laty. Wszystko zmierza do tego, bym myślał, że te lata po prostu nie istniały, że to urojenie, sen, z którego przed chwilą mnie obudzono. Jeszcze trochę, a zaproponują mi pracę, urzęduję się, będę mógł się ożenić ... A ja chciałbym odwrotnie, żeby mnie nie poznawali, żeby dziwili się zaszłym we mnie zmianom. I odczuwam pewną ulgę telefonując do francuskiego radcy kulturalnego: umiem mówić po francusku, nie śniło mi się! Zbiegiem okoliczności człowiek ten zna moje nazwisko i wiedział, że przyjadę: a więc moje istnienie francuskie nie jest urojeniem! I mimo że temat rozmowy jest raczej błahy /jak przełaziwać do bibliotek bułgarskich więcej książek francuskich bez podwyższania budżetu/, czuję się jakby ogrzany rozumieniem, jakie nawiązało się w tej rozmowie: potwierdzono mi moje istnienie. Jeśli bowiem tracę moje miejsce wypowiedzi, wówczas przestaję móc mówić. Nie mówię, więc mnie nie ma.

Przestrzeń /"gdzie indziej"/ zagrożona była zniknięciem. Za to czas nigdy mi się bardziej nie dłużył: te 10 dni trwały prawie 18 lat i każdego wieczoru czułem się o wiele lat starszy. Gdyż każde spotkanie, każda rozmowa kazały mi wyobrażać sobie, w miejsce lat przeżytych w Paryżu, te które mogłem przeżyć w Sofii. Nie, raczej kazały mi, bezwiednie, wspominać to, co tu przeżyłem. Bo przecież nie słuchałem tego jak cudzoziemiec czy daleki krewny, któremu wszystko trzeba wyjaśnić, gdyż przybywa z zewnątrz, nie. Ja przyjmowałem to od wewnątrz, w domysłach, aluzjach i wyobrażeniach. Ta możliwość zanurzenia się, natychmiastowego i całkowitego, w Bułgarii, którą przecież opuściłem, czyniła, nawet dla mnie samego, nieprawdopodobnym moje doświadczenie z bezpośredniej przeszłości: moją tożsamość francuską. Niemożliwe było połączenie w całość tych dwóch połówek: trzeba było wybrać jedną lub drugą.

Dominującym wrażeniem była więc nieprzystawalność. Moje oba języki, oba dyskursy, były

zbyt do siebie podobne, z pewnego punktu widzenia. Każdy z nich mógł być wystarczający dla całości mojego doświadczenia, a żaden nie był w sposób jasny podporządkowany drugiemu. Jeden panował tu, a drugi - tam. Ale żaden w sposób bezwarunkowy. Zbyt były do siebie podobne, więc nie mogły się wzajemnie zastąpić ani połączyć. Stąd natarczywość wrażenia, że jedno z tych istnień musi być snem. Gdy jestem w Sofii, życie we Francji wydaje mi się snem i czuję tę samą niemożność cofnięcia się w czasie, jakiej doświadcza się przy przebudzeniu. Łapię się na tym, że często, przy każdym nowym spotkaniu w Sofii, mówię: "O, jeszcze jedno widmo!", lub, co na jedno wychodzi: "Jestem widmem". Przypomina mi to opowiadanie Henry James'a "The Jolly Corner", gdzie bohater, wracający do swego kraju po trzydziestu trzech latach nieobecności, widzi prawdziwe widma... To właśnie po powrocie do Paryża, czyli po przebudzeniu, jestem najbardziej zakłócony: już nie wiem, na jakim świecie żyję. A matka pisze do mnie: "Teraz to sama już nie wiem, czy ty naprawdę tu byłeś, czy to był tylko sen". Sen, czy szaleństwo - bo może mnie samemu tylko wydaje się, że żyłem tu i tam? Sen i szaleństwo, które są jedynie sposobem reagowania na samą sytuację schizofreniczną. Jak w dysydencji biernej: niekoherencja umysłu jest doskonale koherentna z niekoherencją świata...

Każdy z moich dwóch języków stanowił całość dlatego nie dawały się one zestawić i nie mogły stworzyć nowej całości. Przed wizytą w Sofii znajomość bułgarskiego wcale nie czyniła mojego życia we Francji niemożliwym: używanie przeze mnie języka ojczystego tutaj sprowadza się do spraw czysto użytkowych. Kilka słów na koniec rozmowy z nielicznymi Bułgarami, których znam w Paryżu, korespondencja z rodzicami, jakieś rzadkie lektury, tabliczka mnożenia i kilka przekleństw - oto mniej więcej wszystkie sytuacje, w których we Francji posługuję się bułgarskim. Mogę równie dobrze wyobrazić sobie sytuację odwrot-

na: mieszkając w Bułgarii zostaje tłumaczem z francuskiego, lub oprowadzam gości francuskich, lub staję się specjalistą od historii Francji. Ale oczywiście nie taka była sytuacja podczas mojej 10-dniowej wizyty, kiedy to nie zrezygnowałem z żadnej części mojej osobowości francuskiej, a jednocześnie całkowicie powróciłem do mojej osobowości bułgarskiej. To było za dużo jak na jednego człowieka! Jedno z tych istnień powinno było całkowicie wywłaszczyć drugie. Aby tego uniknąć, będąc w Sofii, uciekałem, kiedy to tylko było możliwe, w pracę fizyczną, pozostającą poza sferą kontaktów społecznych: kosiłem trawę w ogrodzie, przycinałem drzewa, kopałem grządki. Trochę jak człowiek, który, czując się niezręcznie w jakiejś nowej sytuacji, chętnie proponuje pomoc przy obieraniu ziemniaków lub skwapliwie przyjmuje zaproszenie na partyjkę ping-ponga, szczęśliwy, że zachował przynajmniej integralność fizyczną.

Równouprawnienie głosów ma dla mnie posmak szaleństwa. Natomiast ich asymetria, zhierarchizowanie - przeciwnie, napawa mnie otuchą. I czuję bardzo wyraźnie, że istotą mojej obecnej osobowości, obok dwujęzyczności i dialogizmu, jest także pewna hierarchia /i to nie wszystko jedno jaka/. Jedno z wydawnictw w Sofii proponuje mi napisanie przedmowy do tomu francuskiej krytyki literackiej. Waham się, czy przyjąć, wykręcam się, choć we Francji często występuję jako autor wstępów. Lecz tu hierarchia, którą uznaję, zostałaby odwrócona: umiem przemówić głosem bułgarskim /lub innym/ na gruncie francuskim, ale nie odwrotnie. Wszak miejscem mojej obecnej tożsamości jest Paryż, nie Sofia.

Zbliżam się do końca mojej wypowiedzi, co w tym wypadku nie będzie równoznaczne z wyciągnięciem wniosków. W pierwszym przypadku, o którym mówiłem, dotyczącym dysydencji biernej, oba rodzaje dyskursów mogły harmonijnie funkcjonować jedynie zachowując swoje miejsce w ramach ściśle określonej hierarchii. W drugim przypadku, powrotu do rodzinnego kraju,

te oba dyskursy, będące także dwoma językami, doprowadziły mnie do szaleństwa, dopóki nie umiałem im przypisać ściśle oddzielonych funkcji. Teraz już zrozumiałe jest, dlaczego - nie zgadzając się z opinią, że przynależność do dwóch kultur równoznaczna jest z utratą duszy - mam wątpliwości, czy dysponowanie dwoma głosami, dwoma językami, jest rzeczywiście przywilejem gwarantującym dostęp do nowoczesności. Zastanawiam się, czy dwujęzyczność polegająca na neutralności i całkowitej odwracalności dwóch języków nie jest iluzją, a w każdym razie czymś wyjątkowym, skoro jej swobodne stosowanie nie pociąga za sobą nie tylko stworzenia wspólnej przestrzeni dla wypowiedzi w obu językach, ale także uwzględnienia właściwego kąta rozwarcia między nimi, ściśłego podziału zadań, jednym słowem: hierarchii.

Na horyzoncie nieograniczonej polifonii dostrzegłem milczenie i szaleństwo. Uznałem je za przytłaczające. To niewątpliwie powód, dla którego wybieram wartości dialogu.

Tzvetan Todorov

Tłum. z franc.H.S.

Przypisy:

¹ Przytaczam tłumaczenie J.Mieroszewskiego: George Orwell: "1984", Paryż 1953, s.32/przyp. tłum./.

Przekład tekstu wg: T.Todorov, "Dialogisme et schizophrénie", w tomie zbior. "Language and Literary Theory", ed. by B.A. Stolz, I.R.Titunik, L.Doležel, Ann Arbor 1984, s. 565 - 575.

PROZA

LEW M. TIMOFIEJEW

PULAPKA

Powieść w czterech listach

1.

Kłaniam się z Zaborska!

Witaj, Siergieju Michajłowiczu, po długim milczeniu, korzystając z okazji postanowiłem napisać list. Patrz, jak to bywa w życiu: żyły z siebie wypruwasz, o niczym nie myślisz - ani o zdrowiu, ani o rodzinie - tylko praca, i teraz wypadło zaszyć się w szpitalu. Powód jest jeden - Wam piszę tak, jak jest naprawdę - no, o mojej chorobie wiesz: cukrzyca II /średnio ciężka/ - ale nie to jest powodem, że poszedłem do szpitala. Będę się skracał i opiszę wszystko bez biadolenia, bo do tego nie przywykłem, ale z jednym tylko nie mogę się pogodzić: za co to wszystko tak się z człowiekiem robi i gdzie szukać sprawiedliwości?

Jak wiecie, w ciągu ostatnich sześciu lat pracowałem jako kierownik rejonowego wydziału rolnictwa. Teraz zgodnie ze wskazaówkami i osobistym wyborem Żukowca N.S. - pierwszego sekretarza obkomu, przygotowano w mojej sprawie arcymądrą decyzję egzekutywy, którą spowodowała skarga kołchoźników kołchozu "Czerwony kauczuk", że ich były przewodniczący zawalił wszystkie sprawy, kołchoz jest w trudnej sytuacji - 6 mln. długów, ziemia nie ma gospodarza, budownictwa nie ma; że on pogwałcił kołchozową demokrację, bez zgody Rady Ministrów sprzedał ziemię sowchozowi im. R. Luksemburg... Skarga została skierowana do Sołomien-

cewa M.S. - Prezesa Rady Ministrów Rosyjskiej Federacji, w związku z czym Żukowiec do podźwignięcia tego gospodarstwa proponuje mnie.

Uchwała egzekutywy mówi: w celu wzmocnienia kierownictwa, znacznego polepszenia działalności produkcyjno-finansowej i gospodarczej, likwidacji strat, skierować na funkcję przewodniczącego kołchozu "Czerwony kauczuk" tow. Chrienowa W.A., który jest kierownikiem wydziału rolnictwa zaborskiego rejonowego komitetu wykonawczego.

Nie pchałem się na kierownika, zdaje się. Dziesięć lat byłem dyrektorem sowchozu w Sosnowych Górach, ciągnąłem, wyciągałem, w telewizji nas pokazywali, Sztandar Przechodni Rady Ministrów ty przecież własnoręcznie wręczyłeś mi na własność. Nie będę już wyliczał, że wszystkie fermy zostały zmechanizowane, że dla ludzi zbudowałem karuzelę i beczkę śmiechu...

Kiedy mnie mianowano kierownikiem wydziału, doszło do tego, że się poniżałem, w gabinecie u Żukowca rzewnymi łzami płakałem, żeby mnie tylko zostawili w spokoju. I mieszkańcy Sosnowych Gór pisali w mojej obronie, żeby mnie zostawili jako dyrektora sowchozu, ale nic nie pomogło. Dobrze, zabrałem rodzinę i przeprowadziłem się.

Sześć lat pracuję w Zaborsku. Teraz, w sumie, nawet nie zdejmują mnie, a nawet awansują, do największego kołchozu posyłają, ale nie w tym rzecz: człowiek chory na cukrzycę, który żyje na zastrzykach insuliny będzie musiał codziennie jeździć 40 km do pracy na 5 - 6 rano i wracać o 9 - 10 wieczorem. Albo tam się przeprowadzić, rzucić rodzinę, chore dzieci - starszy ma astmę, młodszy, sam wiesz, nie ma tygodnia, żeby nie potrzebował lekarza. Tak więc sytuacja rodzinna i choroba nie pozwalają mi wyrazić zgody na to. Ale z drugiej strony za niwykonanie uchwały egzekutywy i wskazówek Żukowca czeka mnie okrutna niełaska mniej więcej takiego rodzaju: zdjęcie ze stanowiska, surowa nagana lub wydalenie

z partii. I chociaż przedtem na nic takiego w robocie nie zasłużyłem, oni w podobnych wypadkach na nie nie zwracają uwagi, urządzają nagonkę, jaką na niejednego już urządzili. Przypomnę ci: po zdjęciu ze stanowiska znanego ci sekretarza pieskowskiego komitetu rejonowego, tamten urządził się pod Moskwą. Żukowiec dowiedział się o tym od Kenotpa czy od kogoś innego, wyrzucili z roboty, zmusili, żeby wrócił do naszego obwodu, długo trzymali bez pracy, a wreszcie, kiedy już jego żona nie wytrzymała i pojechała na audiencję, upokorzyła się, z łaski dali mu pracę jako ekonomście w kołchozie - starszego człowieka z chorą żoną z miasta rejonowego wyrzucić na zesłanie. Takich przykładów, sam wiesz, jest dużo. Mniej więcej taki los czeka i mnie w nagrodę za wszystkie moje trudy.

W związku z tym zdecydowałem się napisać ten list, poradzić się, co robić. Szkoda mi dzieci i żony. Roboty, oczywiście się nie boję, ale choroba moja i dzieci już nie pozwalają mi wyjeżdżać daleko od szpitala ani decydować się na dożywotnią mękę i tułaczkę. Dobrze lekarzom mówić, że przy mojej chorobie potrzebne jest zachowanie ścisłego reżimu odżywiania: dietetyczne potrawy 4 - 5 razy dziennie w małych porcjach. Przewodniczący kołchozu z samego rana wioł - i do roboty. O jakimże reżimie odżywiania przy takiej objazdowej robocie można mówić? Nie mówię już o przeklętej wódce: przedstawiciel z rejonu przyjedzie - postaw mu i wypij do towarzystwa, z obwodu - postaw i wypij; lekarz z sanepidu przyjedzie czy inspektor p.-poż., czy zaopatrzeniowiec z "Techniki rolniczej", z każdym pij, bo jak nie, spraw nie załatwisz, mandat ci wlepią, zgnoją. Spiralny kac kieruje kołchozem, a nie przewodniczący.

Siergieju Michajłowiczu, w sumie sprawa wygląda tak: robotę trzeba rzucić, ale jak uniknąć nagonki? Na chorobę komitet obwodowy x Przez wiele lat I sekretarz moskiewskiego obwodowego komitetu partii /Przyp.tłum./

nie będzie zwracał uwagi. Nie ma tego w zwyczaju. Wyżej ode mnie postawionych do ziemi przyginali. Naszego byłego pierwszego sekretarza rajkomu Pastuchowa A.S. dopiero po dwóch zawałach puścili z pracy - czekać na to, też nie jest wyjście. Jakież więc jest wyjście? Emigrować poza granice obwodu - będzie śledztwo po linii partyjnej, o czym pisali mi z Piasków. Jak się ustawić? Co możesz mi podpowiedzieć, jak się obronić, gdzie szukać poparcia? Jakie są partyjne zasady w tym względzie?

Ta cała szarpanina nerwów właśnie zmusiła mnie, żebym poszedł do szpitala z podwyższonym poziomem cukru - 240 mg. Teraz być może jako zapowiedź dalszych posunięć będą ciągać lekarzy - czy to nie jakaś siuchta? Dlatego poszedłem do szpitala do Konobiejewa - jak najdalej od miasta rejonowego. Taka to u nas bywa nagonka i niełaska na zaborski sposób...

Napisz mi więc, przecież możesz mi coś podpowiedzieć, masz dość rozumu, przecież byłeś w naszym instytucie najmądrzejszy.

Może napisałem coś nie dość jasno, sam wiesz, w takiej sytuacji trudno się skoncentrować, napięcie nerwowe. Radzą mi pojechać do Żukowca, ale obawiam się tam obsunąć, nagać impertynencji albo jeszcze gorzej. Zresztą, o czym z nim gadać? Czy on sam nie zna mojej sytuacji? Zna i specjalnie dusi... W rejonie są oburzeni takim postępowaniem, wszyscy mi współczują, ale nikt nie może odwołać pańskiego rozkazu Żukowca. Zwracałem się do egzekutywy rajkomu z prośbą o interwencję, żeby mi dali jakąś stosowną do moich sił pracę w Zaborsku. Oni, oczywiście, mogą to zrobić, od tego jest partyjna demokracja i zresztą zwykła przyzwoitość tego wymaga. Oni na razie wszystko mi obiecują, współczują mi, ale dalej sprawa się nie posuwa. A od obiecanek i współczucia wcale nie jest mi łatwiej; trzeba się decydować; albo wyjechać i szukać pracy, albo czekać aż się ze mną rozprawią, siedzieć i czekać, jaką też raczą mi dać pracę, gdy popadnę w niełaskę. Teraz Żukowiec i tak nie da mi pracować i w dowolnej

chwili, pod jakimkolwiek pretekstem przepędzi z roboty. A to przy moim charakterze trudno znieść, lepiej odejść ze względu na stan zdrowia. No, na tym kończę, czekam na twój list. Powiedz mi, jak wyjść z tego zaczarowanego kręgu, jak bronić swoich praw.

Powiadają, że kiedy drugi sekretarz obkomu Zajcew był niedawno w Sosnowych Górach ludzie w dyskusji serdecznie wspominali moją dawną pracę, że on, mówili, podźwignął gospodarstwo itp., a ten zameldował Żukowcowi: jest taki człowiek, nadaje się do dużego gospodarstwa - i uruchomiono kuchnię... Jak pomyślę o tym, aż mnie trzęsie, lekarze się niepokoją. Po coś mnie zabierali z Sosnowych Gór, przecież tak prosiłem, błagałem. Kiedy przeprowadziłem się tu, wstręt mnie ogarnął, gdy wchodziłem do gabinetu, miałem ochotę oblać naftą i podpalić cały ten kram - wszystkie te komitety wykonawcze i wydziały z tymi niepotrzebnymi ludźmi. Jakoś się powstrzymałem, a potem przywykłem... A teraz znowu, rzucają człowiekiem jak ścierką do podłogi. Ale ja już, Sierioża, nie jestem ten sam. Zestarzałem się, zmądrzałem. Dopóki byłem młody, ciągnąłem, widziałem przed sobą perspektywę: uprzemysłowione gospodarstwo, uśmiechnięci ludzie, trójki ze wstęgami na weselach. A teraz wiem, nic tam przed nami nie ma: ciemność i kotłowanina. Nie chcę... Kiedy wyjechałem z Sosnowych Gór, tam od razu wszystkie karuzele i beczki śmiechu poniszczyli - nikomu one nie były potrzebne, tylko mnie. Z początku miałem do nich urazę, ale teraz zrozumiałem: ludzie nie mają co żreć - ktoś się będzie woził na karuzeli?

No, to już chyba wszystko, co chciałem napisać. Żeby zostać przewodniczącym kołchozu, musiałbym mniej wiedzieć niż wiem dziś. Chcę zawczasu wysłać podanie do kierownika obwodowego zarządu rolnictwa o zwolnienie mnie z pracy w związku z pogorszeniem się mego stanu zdrowia, żeby w okresie choroby minęło dwa tygodnie, i jakoś uniknąć ciosu, ale będę czekał na list od Was. Jeszcze raz proszę o wybaczenie, może coś nie tak napisałem.

Serdeczne ukłony dla Kati i całej rodziny.
Z poważaniem

Wasilij Chrienow

2.

Drogi Wasiliju Andrejewiczul

Przeczytałem twój list i zmartwiłem się: sprawa jest kiepska. Wątpliwe, czy ludzie z obkomu wezmą pod uwagę jakiekolwiek tłumaczenie z twojej strony. Jeżeli nie jesteś inwalidą, dla nich jesteś zdrow, jesteś zdolny do zajęcia każdego stanowiska, w tym także i przewodniczącego kołchozu. I nie odmawiaj, i podania nie pisz - tym bardziej nie pokazuj się na oczy Żukowcowi: jesteś, chłopie, porwycozy, chwilami nie panujesz nad sobą - obkomu, oczywiście, podpalić ci nie dadzą, ale żebyś tam czegoś nie narozrabiał. Uspokój się i pamiętaj: jesteś po prostu Wasią Chrienowem - mężem swojej żony i ojcem swoich dzieci. Jesteś członkiem partii, do której wstąpiłeś dobrowolnie, wiedząc, na co się decydujesz, w co się będziesz bawić. Od czasu, jak jesteś w partii, zawsze grałeś zgodnie z zasadami gry i - nie oszukujmy się - zawsze coś wygrałeś. Zgodnie z tymi zasadami ty - szeregowy zootechnik - zostałeś dyrektorem sowchozu, potem kierownikiem w skali rejonu. Wszyscy gramy zgodnie z tymi zasadami i im staranniej ich przestrzegamy, tym większa jest nasza wygrana... I zgodnie z tymi zasadami ty musisz pojechać, musisz dążyć do wygranej, podźwignąć kołchoz, stać się sławnym tak jak w Sosnowych Górach. I huśtawkę z karuzelą powinieneś zbudować, nawet jeżeli one nikomu do niczego prócz twoich sprawozdań nie są potrzebne. Powinieneś także i fermy zmechanizować i głośno krzyczeć o tym, nawet jeżeli wiesz, że to kropla w morzu gospodarczej nędzy, która na dodatek spada z opóźnieniem kilku dziesiątków lat - musisz! I pić - pić też będziesz musiał, żeby nawiązać dobre stosunki z kierownictwem i z dziesiątkami innych przedstawicieli - interesantów, od których jesteś zależny - od magazyniera począwszy, na korespondencie "Prawdy" skończywszy. Wszystko to musisz

robić, w przeciwnym bowiem wypadku zdarzy się to, o czym mi pisałeś - przegrasz. Jeżeli nawet nie w tak straszny sposób, jak ci się to wydaje, to jednak w sposób dostatecznie wstrętny. Chociaż i od krańcowej bezwzględności także nie jesteś ubezpieczony: przecież my jesteśmy nomenklaturą, największymi katorżnikami, nie należymy do siebie, dokąd by cię nie zapchali, bierz, co ci dają.

Pamiętasz Izgojewa, mojego przyjaciela, dyrektora szkoły w Karle? Jakiż to był pedagog! Dziesiątki artykułów o nim napisali, on sam książkę napisał... Wzięli go do rajkomu na trzeciego sekretarza. Inny byłby u szczytu szczęścia: sekretarz rajkomu to figura, władza - wielu widzi w tym cel życia. A on przepracował rok, a potem stanowczo odmówił, wstręt go ogarnął, roboty żadnej nie było. Tylko próżna gadanina. Zrozumiał, że funkcja ta jest w ogóle niepotrzebna, zbędna i on, sekretarz rajkomu jest zbędnym, niepotrzebnym człowiekiem, nierobem. To mocny chłop, do strachliwych nie należy -, co myślał, to po prostu powiedział na głos, poprosił, żeby go z powrotem przenieśli do szkoły... Okrutnie się z nim rozprawili: nie tylko nie przywrócili go na stanowisko dyrektora szkoły - chociaż on tą szkołę od zera stworzył - ale i na nauczyciela go tam nie wzięli. Cały rok chodził bez pracy, progi wycierał w obwodzie i w stolicy. Ale ktoś takiemu pomoże? Kto mu pomoże jeżeli pierwszy sekretarz kazał go przykładnie ukarać? Na drugi rok dali mu pół etatu, żeby nie zdechł. Cóż poradzić? Jeżeli rzucisz na stół legitymację partyjną, w ogóle nie wezmą cię na nauczyciela... Tak się snuje bez zajęcia, pije, cień człowieka z niego został. Ten system wszystkich nas trzyma w garści.

Ale jak by ci tu, przyjacielu, pomóc praktycznie? Połączyłem się telefonicznie z waszym Zajcewem, drugim sekretarzem obkomu. Opisał mi sytuację mniej więcej tak samo jak ty ją opisałeś... Spóźniłeś się trochę. Do czasu, póki Żukowiec wkroczył w sprawę, można było choćby i do tegoż Zajcewa poszukać chodów.

W zeszłym roku oddaliśmy mu pewne przysługi, to dobry chłop, nie struga waźniaka... Ale teraz, kiedy to już wygląda jak decyzja Żukowca, mógłby cię uratować jedynie telefon do niego osobiście od kogoś z kierowników wydziałów KC - stosunki osobiste są pewniejsze niż oficjalne. Ale, niestety, takiego telefonu zorganizować ci nie mogę - to zbyt wielka przysługa, nie mam czym za nią odpłacić, nie te możliwości. Maksimum tego, na co pozwala mi moje stanowisko, to wykonać telefon do sekretarza rajkomu i wstawić się za swoim starym przyjacielem z instytutu. Ale czy to ci pomoże? Myślę, że nie, tak samo zresztą, jak i pomysł z interwencją egzekutywy rajkomu. Cóż to jest rajkom wobec Żukowca? Nędzne robaki...

Ale zostać przewodniczącym, oczywiście, też nie możesz. Nie pociągniesz, nie te siły, nie ten wiek, nie te chęci. Czuję przecież: najważniejsze - nie te chęci! I, oczywiście, zdrowie, nerwy... Cóż począć? Uratować sprawę może tylko twoja żona Natalia. Ona gra we własną grę, z własnymi zasadami.

Nie buntuj się - milcz i zgódź się na wyjazd na stanowisko przewodniczącego. Zbyt-niego entuzjazmu, oczywiście nie przejawiaj, ale zgódź się pojechać. Partia cię posyła, więc jesteś gotów, nie bacząc na chorobę i tak dalej w tym stylu. Wiadomo, nasz zwyczajny bohater pracy... A Natalia niech zrobi awanturę - nie zwykłą awanturę - niech rozpęta burzę!!! Niech idzie do gabinetu do Żukowca, niech płacze i mdleje: ma przecież powody, żeby płakać i mdleć! Mąż zgadza się pójść na prawie pewną zgonę - jest ciężko chory, a chce iść na przewodniczącego kołchozu. Mąż jest, oczywiście, oddanym partyjniakiem, ale o niej przecież też powinien pomyśleć?! O rodzinie, o dzieciach powinien pomyśleć, czy nie?! Jednym słowem Natalia powinna zmusić Żukowca nie tylko do tego, żeby porzucił myśl o mianowaniu cię przewodniczącym, ale powinna go zmusić, żeby, przeciwnie, przekonał cię, że nie możesz nim zostać. A jeżeli misja u Żukowca

spali na panewce, niech jedzie do Moskwy, na wizytę do KC. Ale dopiero po tym, jak Żukowiec jej odmówi... Ale jestem pewien, że nie odmówi jej, jeżeli dobrze odegra swoją rolę, będzie się bał, że oskarżą go o niedocenywanie roli radzieckiej rodziny.

I niech ona nie prosi po prostu - niech nalega na takie załatwienie sprawy, jakiego wam potrzeba: Zaborsk - niech prosi o Zaborsk, jakieś inne miasto - niech żąda innego miasta. Niech będzie jak najśmielsza i jak najbardziej uparta. Teraz pomyślność waszej rodziny spoczywa w jej rękach - wszystko zależy od tego, czy opanuje zasady gry. Powiadom mnie, jak rozwijają się wydarzenia. Twój

Akundinow S.

P.S. Dobrze byłoby, gdybyś zobaczył się z Izgojewem, o którym wspominałem wyżej. Dobrze jest uczyć się na cudzych błędach, a to jest bardzo mądry chłop.

S.A.

3.

Miły Sierioża!

Kłania ci się zapomniany przez ciebie Izgojew. Piszę do ciebie, ponieważ dzięki tobie stałem się świadkiem, a nawet uczestnikiem tej historii, o której straszliwym zakończeniu napewno już wiesz, musiały dojść cię słuchy o niej, przecież wypadek jest niezwykle... Myślę, że wiesz o tym, że tydzień temu pochowaliśmy twojego kolegę Wasilija Chrienowa, a raczej to, co z niego zostało. Pogrzeb odbył się na chybcika, całą sprawę przedstawia się teraz jako nieszczęśliwy wypadek, jako nieostrożność: gorące lato, susza, spłonął człowiek z braku ostrożności... Bzdury! Ja wiem, jak to było - wszystko stało się w moich oczach. Ale opowiem wszystko po kolei...

Przyjechał do mnie mniej więcej przed miesiącem. Opowiedział mi o swojej historii: "Co robić"? A czyż ja wiem, co robić? Przecież to sprawa sumienia, jaką drogę wybrać, jaki rodzaj życia wybrać... Na ciebie był trochę obrażony za twoją radę, żeby posłać żonę:

"Raczej dziesięć razy sam się podstawię." Taka misja wydawała mu się z jakiegoś powodu poniżająca dla niej, chociaż ja zupełnie się z tobą zgadzam: z tymi kłamcami i cynnikami inaczej grać nie można, nie wygrasz.

Ale Chrienow miał nadzieję na coś innego: w rajkowie obiecali mu poparcie - on miał uparte iluzje na temat partyjnej demokracji i zwykłej przyzwoitości. Pomagał wielu ludziom w rejonie, myślał, że i jemu pomogą. Ale jego pewność siebie była jakaś naiwna i zaraźliwa. Nie mogą sobie wybaczyć, że pozwoliłem mu wyjechać w takim nastroju, nawet pomogłem mu zrehabilitować projekt uchwały egzekutywy. Właśnie te naiwne iluzje zgubiły go. Powinienem był otworzyć mu oczy i nie zrobiłem tego: wszyscy jesteście napompowani tymi pocziwymi bzdurami, wszystkim nam się wydaje, być może, gdzieś jest sprawiedliwość - na kimś połamie sobie wreszcie zęby ta przeklęta maszyna, zatnie się, wypłuje czyżąc duszę jeszcze żywą, nie zgubioną... Nie, to się nie zdarza, maszyna kręci się bez zakłóceń.

Cóż powinienem był mu powiedzieć? Powinienem był mu powiedzieć i wytłumaczyć, że żadna partyjna demokracja tu nie zagra - chociażby z tego powodu, że żadnej partii, w takim sensie, jak podają wszystkie encyklopedie u nas nie ma...

Wszyscy jesteście w błędzie... Przypomnij sobie, po co ty sam wstąpiłeś do partii? Ja pamiętam, cały drżałeś z niecierpliwości: była okazja zostać dyrektorem sowchozu. Miałeś dwadzieścia cztery lata, nie byłeś jeszcze Siergiejem Michajłowiczem Akundinowem, a Sieriożą, Sieriożeńką. Byłeś zdolny, mądry, zdecydowany - i oto jesteś dyrektorem sowchozu, samodzielnym gospodarzem. Ziemia, ludzie, maszyny, władza. No i, oczywiście, pensja, dom, żywność, skierowania do sanatorium i za granicę. Bezpartyjnemu tego wszystkiego nie dadzą. Potrzebne jest pokwitowanie, że ty jesteś swój. I ty podpisałeś to pokwitowanie - podanie o przyjęcie do partii. Zaakceptowałeś zasady. Ra-gry. Zdobyłeś wszystko, o czym marzyłeś. Ra-

czej, myślałeś, że zdobywasz. Naprawdę, to ciebie zdobyto, kupiono na prawach wieczystego użytkowania.

Nie gniewaj się, wszyscy jesteśmy jednakowi. W swoim czasie za żadne skarby świata nie wstąpiłbym do partii, zawsze brzydziłem się kłamstwem, chełpliwą demagogią i praktyczną bezsilnością, na których zbudowana jest ta organizacja. Ale dali mi do wyboru: albo wstąpię, albo wyleją ze szkoły. A ja dopiero rok dyrektorowałem, dopiero zamierzałem tyle dobrych rzeczy zrobić. Zostawić zaczęłą robotę na łaskę losu, żeby wszystko wpadło w nieudolne, zimne ręce - w ręce nieboszczyków z mętными oczami, którym każda sprawa potrzebna jest tylko po to, żeby ją zdusić i żyć spokojnie i obojętnie. Zresztą, ja własne życie pojmowałem jako walkę z nimi. I teraz im właśnie wszystko oddać? Nigdy! Do partii to do partii. Mało tego, zdecydowałem, że i w samej partii będę walczył z tępą nieudolnością, z tym zwierzęcym dążeniem do duchowej śmierci... To był błąd. Oni są silniejsi. Oni właśnie są partią. Oni są władzą, państwem. Oni nas łapią, żeby nas zgasić, powiązać, zmusić, żebyśmy służyli ciemności, śmierci. I my służymy. I gaśniemy w ich beznadziejnej sprawie.

Potem, kiedy byłem prawie rok sekretarzem do spraw ideologicznych, zaprowadziłem sobie księgę, gdzie notowałem przychody i rozchody - na jednej stronie notowałem wszystko z czym powinienem walczyć, a na przeciwnej - wszystko o co mogę się oprzeć w tej walce. Obraz był straszny! Z jednej strony rozkładające się społeczeństwo: kłamstwo jako ideologia, powszechne pijaństwo, masowe złodziejstwo, rozpusta, korupcja, brak wiary w cokolwiek... A z drugiej nieodpowiedzialne ćwierkanie Breżniewa i innych. Pomyślawszy trochę, całe to towarzystwo przeniósłem też na drugą stronę - do rozpusty i złodziejstwa...

I co? Przecież to jest jak w koszmarnym śnie: widzisz, słyszysz, a nie masz siły ruszyć palcem... Wystarczyło, żebym poparł cokolwiek żywego, potrzebnego, chociażby najdrobniejsze przedsięwzięcie w rodzaju klubu

dyskusyjnego czy towarzystwa amatorów trzeźwości, a natychmiast wokół mnie pojawiały się obojętne gęby z mętnymi oczkami: "A po co wam to? A nam to po co? Komu potrzebne są dyskusje i o czym tu dyskutować? Komu potrzebni są amatorzy trzeźwości, kiedy cała finansowa strategia państwa opiera się na wódce? Wszystko to jest ze sobą sprzeczne..." Słusznie, to wszystko jest niebezpieczne: dzisiaj zbiorą się dobrowolnie, żeby pogadać o trzeźwości, a jutro zaczną rozmyślać o życiu, ośmielą się zadawać pytania, zechcą prawdy... Nie, dobrowolnie nie wolno zajmować się niczym. Góra nam powie, czym należy się zajmować - obkom, KC - powiedzą nam, na jaki temat można prowadzić spory, o czym dyskutować. Najlepiej jeśli to będzie trylogia Leonida Iljicza - i na zakończenie dyskusji napiszemy entuzjastyczny list do autora...

Potrzebowałem mniej niż roku, żeby zrozumieć: służę wojującemu kłamstwu i nieudolności. Używają mnie przeciwko światłu i życiu. Muszę uciekać. Albo umrzeć - umrzeć duchowo, wstąpić do partii już nie formalnie, a faktycznie. I zacząć samemu dławić każdy przejaw życia...

Czy nie dlatego Chrienow nie chciał zostać przewodniczącym? To zdolny, doświadczony chłop, z pomysłami. Dlaczego odmawiać? Dlatego, że sprawa jest beznadziejna. W ciągu sześciu lat pracy w wydziale dobrze wyczuł, że w naszych obecnych warunkach praca w gospodarce nie ma sensu. Inicjatywa gospodarcza jest ograniczona zakazami, każdy, najmniejszy ruch wymaga ogromnych wysiłków, łapówek, specjalnych zezwoleń: środków nie ma, praca jest mało wydajna, dystrybucja nierozumna albo w ogóle wymknęła się wszelkiej kontroli. Pijaństwo, złodziejstwo, przekupstwo z góry na dół. Czarny rynek staje się podstawą gospodarki, zresztą stał się nią już na tyle, że państwo nawet z nim nie walczy, jedynie usiłuje wykorzystać go dla swoich celów. Mamy socjalizm. Taki jest!...

Wszystko to Chrienow wyczuł, ale zrozumieć

nie potrafił lub, raczej, nie chciał zrozumieć odrzucił możliwość zrozumienia, bo zrozumieć jest strasznie: gdzie się potem podziąć? Przecież cię zetrą na proszek, rozwalczą na naleśnik...

Pamiętasz, jak zastrzelił się Łarionow, sekretarz riazkańskiego obkomu, kiedy wyszły na jaw jego dopiski i mydlenie oczu? Jedni mówili, że zamęczyło go sumienie, inni - że się przestraszył, a jeszcze inni - że go po prostu stuknęli. Nie wiem, jak jest z ostatnią wersją, ale pierwsze dwie są nieprawdziwe: znałem tego działacza, przecież uczyłem się w Riazaniu. To był człowiek, który nie znał strachu i nie miał sumienia. Gracz. Myślę, że zastrzelił się dlatego, że rozumiał: nie ma się gdzie podziąć. Wsadzić by go nie wsadzili, ale długo by deptali, wałkowali - i on wpadł w przygnębienie. To nie jest strach - przygnębienie z powodu beznadziejnej sytuacji... Chciałoby się wierzyć, że on był jeszcze mądrzejszy: rozumiał za nas wszystkich, że i my nie mamy wyjścia. A czy to nieprawda? Dookoła nas dawno już są tylko dopiski i mydlenie oczu - ale my nie strzelamy sobie w łeb, a po prostu nie dopuszczamy tego oczywistego faktu do naszej świadomości i toczymy się razem ze wszystkimi i wszyscy razem. Dokąd? Po co? Z czyjego rozkazu? Żeby chociaż jeden z nas zadał sobie te pytania...

Ale Chrienow postanowił zrezygnować z gry na własną rękę, w pojedynkę, zachowując tę niewielką wygraną, którą udało mu się zgarnąć w ciągu lat, kiedy pełnił funkcje kierownicze: chciał zdezerterować, zρέcznie wykręcić się sianem. Ale kto mu pozwoli odejść? Odejść można dopiero wtedy, kiedy i kieszenie, i duszę wywrócisz na spodnią stronę. I wtedy jeszcze nad tobą nędznym, zdeptanym będą się znęcać, obrzucać szyderczymi okrzykami. Co to za mądry człowiek powiedział: "Socjalizm łatwo spróbować, ale trudno go wypluć." I do partii wszyscy wstąpiliśmy bez trudności, a spróbuj wystąpił ...

W Zabonsku odbyła się egzekutywa rajkomu. Wiedziałem, że Chrienow ma zamiar zabrać tam

głos, żeby przedstawić swoje pretensje. Przyjechałem do miasta jeszcze przed posiedzeniem, żeby go złapać i wyperswadować mu protesty i oświadczenia. Z jakiegoś powodu wydawał mi się sympatyczny i szczerze ohoiałem mu pomóc, ale się spóźniłem. Usiadłem na skwerku przed rajkodem w nadziei, że tym razem być może nie wyskoczy jeszcze ze swoją mową, a potem potrafię go przekonać.

Posiedzenie przeciągnęło się: przyjechał Żukowiec, przypadkowo przyjechał, wizytował gdzieś niedaleko pożary lasów i postanowił pouczestniczyć w egzekutywie. Taki niespodziewany nalot jest zgodny z jego charakterem. On jest nawet dumny z tego, że posiada zdolność zjawiania się tam, gdzie go nie oczekują

... Jak się potem dowiedziałem, na porządku dziennym był przebieg kampanii gromadzenia pasz. Chrienow jeszcze jako kierownik wydziału referował jak przebiegają sianokosy. Powiadała, że był podniecony, ciągle wytykał obwodowym organizacjom, a nawet komitetowi obwodowemu złą organizację pracy. Słuchano go pobłaźliwie, Żukowiec dwa czy trzy razy nawet mu przytaknął - zawsze udawał, że ubóstwia ostrą krytykę - ale wszyscy wiedzieli, że to już jego ostatnie godziny na stanowisku kierownika wydziału. Sprawa jego przeniesienia była już zdecydowana i nikt by sobie nie przypomniał o tym, że taka sprawa w ogóle istnieje, gdyby przy końcu posiedzenia Chrienow nie wyrwał się znowu ze swoim głosem.

Już wyczerpano produkcyjny porządek dnia, kiedy on znowu poprosił o głos i wykrzyczał coś o swojej sytuacji. To było poważne pogwałcenie procedury: nad sprawami kadrowymi nie dyskutuje się - w rzeczywistości decyduje o nich obkom i podaje do wiadomości rejonowi. A ten wyskoczył jak Filip z konopi... Żukowiec, jak powiadają, z początku aż gębę otworzył ze zdziwienia, zaczął się oglądać, ale natychmiast zrozumiał, że to nie jest bunt, lecz osamotniony samobójca, kamikadze. Zaporoponował łagodnie, żeby sprawę przenieść tam, gdzie powinno się o niej decydować - do

obkomu. Ale Chrienow sam wlaź na rożen: "Ja, jako członek egzekutywy rajkomu stanowczo żądam... moi koledzy i towarzysze..." Itd, itp.... Jednakowoż, rozumiesz, do tego wszystkiego on był naprawdę chorym człowiekiem.

Żukowiec aż się rozweselił. Już miał zamiar wstać i odjechać, ale usiadł z powrotem. Wydało mi się, że postanowił dać wszystkim obecnym przykładową lekcję demokracji. "No cóż, towarzysze, kto da słuszną ocenę polityczną postawy komunisty Chrienowa?" Wszyscy milczą. "Wobec tego - powiada Żukowiec spokojnie - pozwólcie mnie... Komunistą Chrienow otrzymał polecenie zajęcia stanowiska przewodniczącego kołchozu /w tym miejscu, jak powiadają, zająknął się, bo nie pamiętał nazwy kołchozu - odpowiedziano mu/... Tak... Chrienow pozwala sobie ignorować interesy partii i gospodarki narodowej. Dlatego też Chrienow, jeżeli nadal będzie się upierał przy swoim niesłusznym zdaniu, zostanie wydalony z partii, adżęty z pracy i wysiedlony poza granice naszego obwodu bez prawa zajmowania stanowisk kierowniczych - taka jest jedynie możliwa polityczna ocena stanowiska Chrienowa..."

W tym momencie jakgdyby obudził się pierwszy sekretarz rajkomu - przecież musiał natychmiast odejść się od nieszczęsnego Chrienowa, któremu zawsze przysięgał wierną przyjaźń - wszyscy wiedzieli o ich stosunkach towarzyskich, ich rodziny też się przyjaźniły pomiędzy sobą. "Kto jest za oceną stanowiska komunisty Chrienowa proponowaną przez towarzysza Żukowca? Głosują tylko członkowie egzekutywy rajkomu... Przyjęto jednogłośnie". "Widzicie - powiedział ukojony Żukowiec, zadowolony z szybkiej reakcji pierwszego sekretarza rajkomu - wasi własni towarzysze i koledzy dali wam lekcję partyjnej etyki."

I tu Chrienow jakby rozum postradał. Słyszałem to nawet ja - tak krzyczał, że przez otwarte okna słyszać było na ulicy: "Kanaliel! Faszyści! Wszyscy tu jesteście faszyści!" Zrozumiałem, że koniec z nim. Na zawsze. Widocznie on też to rozumiał. Słyszałem, jak

w budynku trzasnęły jedne drzwi, drugie. Chrienow wyskoczył zupełnie oszalały, kiedy poszedłem mu na spotkanie: "To mafia" - powiedział niespodziewanie cicho, pokazując do tyłu na rajkom. Potem odrzucił mnie na bok i szybko poszedł... do ubikacji, do tej ubikacji z desek, co jest na pustym kawałku gruntu - wiesz, między rajkodem i komitetem wykonawczym. Po drodze, przechodząc obok kierowcy, który leżał pod gazikiem rajkomu, złapał butelkę z benzyną, którą tamten mył jakieś części. Kierowca nie zauważył tego, tylko ja spostrzegłem - spostrzegłem, ale nie zrozumiałem, co się dzieje. I dopiero kiedy ubikacja stanęła w płomieniach i w ciągu pięciu minut - w ciągu pięciu minut, nie więcej! - spłonęła, zrozumiałem, co się stało...

Zanim w rajkowie zauważyli ogień, zanim wybiegli na podwórze i dostrzegli, co się pali a dostrzegłszy i przekonawszy się, że ogień niczemu nie zagraża, jeszcze sobie pożartowali, ponieważ nikt nie mógł przypuścić, że wewnątrz znajduje się człowiek - póki się to wszystko działo, drewniak spalił się do imentu. A mnie, wiesz, jakby sparaliżowało, gardło i całe ciało - ani krzyknąć, ani się poruszyć - tak mi w gardle zaschło... Zaraz poczułem, że tracę przytomność, zwałem się na ławeczkę i rzeczywiście film mi się urwał na kilka minut...

A kiedy przyszedłem do siebie, już krzyczeli, że tam jest człowiek, dźwigali wiadra z wodą. Przyjechał wóz straży pożarnej. Ale w tym czasie drewniak spłonął i zawalił się do dołu kloaczego. Zaczęli bagrować w poszukiwaniu ciała... Odszedłem i od razu pojechałem do domu. Dopiero na pogrzebie opowiedzieli mi szczegółowo przebieg posiedzenia egzekutywy...

Żukowiec wyjechał z Zaborska jednocześnie ze mną. Szybko zdał sobie sprawę z tego, co się mianowicie stało i natychmiast kazał dać rodzinie Chrienowa maksymalną rentę - żeby było mniej gadania...

Cóż tu jeszcze można dodać, miły Sierioża?

Jesteś mądry chłop, sam wszystko wiesz... Wszystko to podobne jest do majaczenia chorego umysłowo. Żyjemy w koszmarniej malignie. I nie wiemy jak się z tego uwolnić. Ja przynajmniej nie wiem. Chyba jak najprędzej zdechnąć.

Zresztą, ty, jak zwykle, jesteś spokojny, pełen radości życia. Gotów jesteś przyjmować rzeczywistość taką, jaka jest. No cóż, życzę powodzenia!

Ukłony dla żony i dzieci - dla całej twojej zgodnej, uśmiechniętej rodziny.

Powiedzieli mi, że dostałeś nowe, wspaniałe mieszkanie. Cieszę się. Nie znam jednak twojego adresu i dlatego piszę do pracy. Bądź tak dobry i daj mi swój adres, bo przecież żyję samotnie, zupełnie samotnie - nawet słowa nie mam z kim zamienić.

Twój przyjaciel...

4.

Do

Przewodniczącego Komisji Kontroli Partyjnej
przy KC KPZR tow. Pelsze A.J.

od członka KPZR /legitymacja partyjna nr .../
instruktora..... wydziału KC KPZR
Akundinowa S.M.

Notatka służbowa

Odnosnie listu Izgojewa B.I. adresowanego do mnie, który przez pracowników kancelarii został przekazany do Komisji Kontroli Partyjnej, mam do powiedzenia, co następuje.

Nigdy nie prowadziłem żadnej korespondencji z Izgojewem Beniaminem Iwanowiczem, o czym zresztą dobitnie świadczy treść jego listu. Wymieniony list był jego pierwszym i jedynym listem do mnie. Ja ze swojej strony żadnych listów nie pisałem. Rada, jakiej udzieliłem Chrienowowi W.A., żeby zapoznał się z Izgojewem B.I., podyktowana była wyłącznie troską. Miałem nadzieję, że smutne doświadczenia tego ostatniego pomogą Chrienowowi W.A. zająć pryncypialne stanowisko partyjne.

Oprócz tego, co powiedziałem powyżej, uważam za swój obowiązek oświadczyć, co następuje.

W ciągu wielu lat dobrze znałem Izgojewa B.I. jako komunistę o niezłomnych przekonaniach i całkowicie oddanego, sumiennego członka partii. Obecnie, jak wynika z listu, Izgojew B.I. znajduje się w stanie krańcowego napięcia nerwowego, które graniczy z chorobą. Podobny stan zdrowia stanowi poważne niebezpieczeństwo dla Izgojewa B.I., ponieważ w każdej chwili może on stracić panowanie nad sobą i pozwolić sobie na publiczne wystąpienia, które nie dadzą się pogodzić z mianem członka partii. Poważne obawy wywołuje również tendencja Izgojewa B.I. do interpretowania w najbardziej negatywny sposób postępowania pracowników partyjnych - Żukowca N.S., zmarłego Chrienowa W.A. i moich własnych. Jednocześnie wykluczenie Izgojewa B.I. z partii byłoby nie tylko tragedią dla niego samego i jego rodziny, ale wywołałoby także niepożądane plotki. Sądzę, że najśluszniej byłoby nie nakładać na Izgojewa B.I. kar partyjnych, ani nie stosować jakichkolwiek innych sankcji, lecz pomóc mu przezwyciężyć jego chorobę. W tym celu należałoby udzielić pomocy w ulokowaniu go w jednej z klinik psychiatrycznych, gdzie można byłoby zapewnić choremu indywidualną opiekę.

Ze swej strony poczuwam się do ciężkiej winy wobec partii, która polega na stopieniu czujności partyjnej i niedocenianiu antypartyjnych nastrojów Izgojewa B.I.

S. Akundinow

18 sierpnia 197...r.

Lew M. Timofiejew

Przełożył Mikołaj Lerski

WIERŠE

TOMASZ SOLDENHOFF

To my jesteřmy grobem nadziei
w nas
sny o odnowie
tylko pełzają
niczym po płytach
ogień

To my bieg-łiřmy
Maryję niosąc
pod okna władz
i wołaliřmy
jak cegły z murów:
do strajku chodźcie

Lecz cóż nam po tem
pod dnem szuflady
ulotek garść
na dnie szuflady
opaska płonie
i świeci - w snach

Pismo nie-znane
tam czytać chcemy
od Boga znak:
odczytywalne tylko
NA WSPAK

sny o nadziei

/31 VIII 1987/

MOJA OJCZYZNA

Życie z niej uchodzi z krzykiem i skomleniem
Bezpańska jak rzucony w kąt pokoju zegar
komu odmierza godziny Idącym przez Czas
na trwogę czy też miłość bije pokoleniem?

/IV 1987/

POLSKA

Już po raz setny opisywać walący się mur
pod którym w kukki nie licząc spadających na
cegł siedzimy próbując odczytać ze szczelin
znak wróżb a może Nadziei hieroglif

/VIII 1986/

LITANIA DO MATKI BOSKIEJ

I dokądkolwiek pójdiesz
i gdzie odwrócisz głowę
wszędzie słysząc c i s z ę
to oddychają groby

To oddychają groby
skarżąc się i złorzecząc
bezsenne gwarne państwa
pod cierpliwą ziemią

Pod struchlałą ziemią
od zagryzionych dłoni
od krwawiących w rozpacz
oszałałych z trwogi

O Matko Chrystusowa
unosząc się nad ziemią
zdejm z jej ramion ciężar
skamieniałego gniewu

I bólu zastygłego
zrzuć z jej ramion brzemię
i poety wielkie słowa
rozbij o kamienie

/1987/

ŚWIADECTWA

O GENEZIE I ZAŁOŻENIACH RUCHU WOLNOŚĆ I POKÓJ

Z Jackiem Szymanderskim rozmawia Aleksandra Ciechanowicz

- Dlaczego właśnie WiP?

Jacek Szymanderski: Marek Adamkiewicz ze Szczecina odmówił złożenia przysięgi wojskowej. W więzieniu podjął głodówkę protestacyjną. Jego koledzy z NZS-u postanowili zorganizować głodówkę solidarnościową. Szukali kogoś kto ma dobre stosunki z Kościołem, kto pomoże im w załatwieniu miejsca. Tak się zaczęło. Głodówka odbyła się w Podkowie Leśnej, podczas niej powzięliśmy decyzję, aby powołać ruch pokojowy, którego podstawą ideologiczną będą Orędzia Pokojowe Papieża. Opracowaliśmy dokument, który zawierał najważniejsze myśli z Orędzia na światowy Dzień Pokoju w 1985 roku. Nazwę zaś wymyślił Kraków w kwietniu tego samego roku. W owym czasie w WiP-ie pojawiły się dwie grupy: "starych" i "młodych". Po niedługim czasie ze starych zostałem tylko ja, bo Barbara Malak i Janusz Grzelak wyjechali za granicę, Jacek Kuroń został sympatykiem. Rozgorzała też dyskusja kto ma podpisać oświadczenie, w końcu zdecydowaliśmy, że podpisują młodzi.

- Rozmawiałam z wipowcami w różnym wieku z różnych ośrodków, ich wypowiedzi były konglomeratem różnych postaw i poglądów politycznych. Wielu mówiło o świecie tak jakby polityka nie istniała. Jak to się dzieje, że stworzyli jeden ruch?

Jacek Szymanderski: To nie ruch w kate-

goriach politycznych, znanych dotychczas, to jakby kontr-polityka. Obecna europejska polityka i kultura polityczna mają nie mniej niż sto lat, partie polityczne to już też pomysł stuletni. Opiera się to wszystko na takich podstawowych filarach jak państwo narodowe, doktryna postępu i konkurencji. Pierwszym sygnałem, że polityka tak pojęta nie rozwiązuje podstawowych problemów współczesności był koniec lat sześćdziesiątych. W tym czasie w Ameryce pojawili się hippiesi, dla których sprawą zasadniczą była sztuka a nie polityka. Szukali przeżycia artystycznego a nie samorealizacji w wytrwałej pracy, zwycięstwa w konkurencji, czy stworzenia organizmu politycznego. Zieloni w Republice Federalnej Niemiec, wipowcy u nas wywodzą się właśnie z tej tradycji. Analogii do tego, co się dzieje dziś w tych ruchach, szukać należy w latach 70-tych XIX wieku. Pojawiły się wówczas partie socjalistyczne, a tradycyjna polityka i kultura polityczna nie obejmują tak zwanej wówczas nowej kwestii społecznej. Taki niewątpliwy do niedawna filar wszelkiego myślenia politycznego jak państwo narodowe jest coraz częściej tylko jedną z możliwych form organizacji. Ludzie różnie się organizują: w państwa imperia, więzienia, szpitale psychiatryczne. Jesteśmy na przełomie kulturowym. Od lat przywykliśmy, że historia opowiada o dziejach zwycięskich ugrupowań, narodów, państw, klas społecznych, a my widzimy sens w przynależności do nich. Historia opowiadając o wielkości narodu nadaje znaczenie naszemu życiu ściśle zespolonemu z dziejami kolektywu. Wydaje się jednak, że obecnie poszukiwanie sensu życia w kolektywnym występowaniu zaczyna tracić monopolistyczną pozycję.

Ludzie coraz częściej interesują się dziejami jednostki, nie agregatu. Z filarów polityki wypadła zasada postępu, ta doktryna jest skończona. Wiadomo, że rozwój gospodarczy nie pociąga za sobą rozwoju etycznego. Okazało się, że człowiek może doskonale rozwijać się w jednym kierunku a pozostawać na poziomie

jaskiniowca w innych sferach. Skończyła się również doktryna konkurencji. Obecnie młodzi ludzie pragną zastąpić zasadę konkurencji zasadą współpracy i współodczuwania. Dla poprzednich pokoleń konkurencja we wszystkim miała znaczenie zasadnicze, wskazywała bowiem na najlepszego. Nieustanne porównywanie się w szkole, w pracy, wśród znajomych pozwalało odkryć własną wartość. Obecnie w młodym pokoleniu miarą wartości człowieka staje się jego zdolność do miłości, tolerancji i współczucia z innym człowiekiem.

Tak więc podstawowe filary europejskiej kultury politycznej załamały się. Młodzież zachodnia masowo emigruje, u nas mówi się, że patriotyzm nakazuje pozostanie. Młody Szwed wyjeżdża do Niemiec nie mówiąc o patriotyzmie, pozostaje nadal Szwedem, co więcej ma w nowym kraju możliwość zrobienia dowolnej kariery, zależy to tylko od jego inteligencji, energii i kwalifikacji. Trzydzieści lat temu było to niemożliwe, dziś jednak część młodzieży przestaje myśleć kategoriami nacjonalistycznymi, hasło: "Niemcy dla Niemców", "Francja dla Francuzów" przestaje być nośne, świadczy to o załamaniu się zasady kolektywu.

My w naszym pokoleniu ciągle szukamy sensu życia przez organizowanie całości życiorysu w szerszy kontekst. Oni nie. Młodzież nie szuka spełnienia w stworzeniu ze swojego życia jedności, całości, tak by wszystkie momenty zyskiwały sensowność. Młodzież szuka prawdy samej w sobie, a nie kolejnych szczybli życiowej kariery. Jest to sprawa przeżywania życia w danej chwili, happeningi, wycia na koncertach muzyki rockowej, to są wszystko zachowania idolatryczne, realizują się w całości w momencie ich trwania. Oni są dziećmi kultury masowej i to jest ich istotą, są również anarchistami. Jeżeli będziemy próbować kłaść im w głowy nasze mądrości, organizować ich na nasz sposób, to nas odrzuca. Postawa "happeningu" jest moim zdaniem najpotężniejszą i najgroźniejszą bronią przeciw totalitaryzmowi.

- Myślę, że większość działającej młodzieży nie ma świadomości procesów, jakie zachodzą?

Jacek Szymanderski: Tak, świadomość procesów jest minimalna, nie ma to jednak większego znaczenia dla demontażu ustroju totalitarnego. Ci młodzi rozumieją sprawę podstawową, nie chcą być częścią kolektywu, a podstawą legitymizacji władzy w tym kraju jest myślenie kolektywistyczne. Dla legitymizacji władzy jest ważne by pokazać, że scentralizowane państwo nie jest wynikiem koniunktur historycznych i przypadków, tylko jest czymś w rodzaju wyniku praw przyrody. Komuniści chcą byśmy wierzyli, że wielka ewolucja doprowadziła nas do komunizmu i w zasadzie nie ma wyjścia.

- Jak radzicie sobie z sytuacjami, w których musicie wystąpić jako całość?

Jacek Szymanderski: Z tego co o istocie ruchu powiedziałem nie wynika, że wobec rządu nie poprowadzimy energicznej polityki w dziedzinie służby zastępczej. Pewne uzgodnione postulaty da się przedstawić. Muszę doprowadzić do wyartykułowania wspólnego stanowiska - od tego jestem. Nie jest słabością ruchu, że nie jest kolektywem, to się tak z zewnątrz może wydawać.

- Z moich wycieczek po środowisku wynika, że młodzież wipowska to nie tylko ludzie proveniencji hippiesowskiej, to również młodzież katolicka czy narodowa. Niektórzy mówią, że są chadekami, inni, że socjalistami. Jak widzisz ich miejsce w ruchu?

Jacek Szymanderski: Zobaczymy. WiP jest tym co w politologii nazywa się "grupą nacisku" a nie partią polityczną, być może połączy ich z resztą stosunek do wojska. Zasadniczą sprawą ludzi, którzy przystąpili do WiP-u jest w tej chwili walka o służbę zastępczą. Nie jest najważniejsze z jakimi nurtami politycznymi się identyfikują, mają wspólny cel do zrealizowania. Dla młodzieży pacyfistycznej sprawą pryncypialną jest odmowa służby wojskowej. Ogromna część młodzieży

uważa, że prawa ta ma charakter polityczny. Uważają, że służba wojskowa w Polsce trwa za długo, że wyszkolenie człowieka, by sprawnie posługiwał się różnego rodzaju urządzeniami, powinno trwać kilka miesięcy. Oczywiście wszelkie wyjaśnienia demograficzną są zwykłym zwracaniem głowy. Służba w krajach imperium sowieckiego trwa długo po to, by żołnierza przygotować do spełnienia każdego rozkazu. Armia jest szkolona po to, by wziąć udział w wojnie domowej, czy w agresywnej awanturze imperialistycznej. Przygotowanie ludzi do takich celów wymaga czasu, bo polega na praniu mózgów z niezwyklej brutalnością. Najważniejszą rzeczą jest złamanie godności i pozbawienie zdrowego rozsądku. Po to szkolenie pełne jest różnych bezsensownych i upokarzających rozkazów, jak np. czyszczenie kibla szczoteczką do zębów. Tylko w ten sposób można bowiem doprowadzić do sytuacji, w której człowiek zatracą poczucie własnej indywidualności i wykona każdy rozkaz. Ktoś by na to mógł powiedzieć, że nie Polska Ludowa wymyśliła tak brutalną służbę, że przed drugą wojną światową służba wojskowa była równie brutalna. To prawda, świat przed drugą wojną to epoka rosnących nacjonalizmów, które są pravicową odmianą totalitaryzmów. Nam chodzi o to, żeby służba zastępcza stanowiła konkurencję dla wojska, zmusiła je by stało się ludzkie. Być może wtedy zrodzi się armia służąca do obrony, wykonująca rozkazy zgodnie z sumieniem żołnierza, jak również z przekonania opinii publicznej. Wojsko polskie jest marzeniem tego narodu, jest symbolem niepodległości. Wojna 20-tego roku wzmocniła te nadzieje. W społeczeństwie funkcjonuje męt, że młodzi muszą być przeszkoleni, by bolszewika bić. Należy wreszcie rozstać się z mitem i nadziejami, 20-ty rok zdarzył się raz i więcej się nie zdarzy. Obecnie trzeba bić na alarm, że wojsko jest po to, by rozprawiać się z protestującymi robotnikami, jak to było w roku '56, '70 czy '81, że jest po to, by wspomagać armię radziecką, jak to było w roku '68 w czasie napaści na Czechosłowację.

- Nie rozmawialiśmy jeszcze o sprawie zasadniczej dla WiP-u - walce bez przemocy.

Jacek Szymanderski: Warto zacząć od zastanowienia się nad stosunkiem pokolenia Solidarności do non-violence. Solidarność była niewątpliwie ruchem stosującym zasadę walki bez przemocy. Ale myślę, że w opinii wielu ludzi mojego pokolenia owo - "bez przemocy" było taktyką a nie wartością. Krótko mówiąc, dla Solidarności możliwe było działanie tylko bez przemocy, bo inne działanie sprowadziłoby na ten kraj klęskę. Nie znaczy oczywiście, że gdyby Solidarność była silna, to by stosowała przemoc. Otóż w nowym pokoleniu łagodność jest wartością. Młodzi ludzie rozumieją, że we współczesnym świecie nie można rozwiązać siłą takich problemów, jak zanieczyszczenie środowiska, czy wolność jednostki. Problem, który można rozwiązać siłą to wolność narodu, wolność dowolnego kolektywu. Młodzi myślą kategoriami antykolektywistycznymi, o czym już mówiłem. To jest nowe podejście do sprawy, które niedokładnie sobie uświadamiamy.

- Jak chcecie przyczynić się do utrzymania pokoju na świecie?

Jacek Szymanderski: Bardzo istotną rzeczą dla tego ruchu jest rozróżnienie między rozbrojeniem politycznym a technicznym. Rozbrojenie techniczne to zmniejszenie arsenałów. Natomiast rozbrojenie polityczne to psychologiczne wykluczenie możliwości agresji. Chcemy doprowadzić do takiej sytuacji. Dziś Włochy nie rozpoczęłyby wojny przeciwko Francji o odzyskanie Nicei, a przecież Mussolini rozpoczął wojnę pod tym hasłem z aprobatą ogromnej większości Włochów. Niemożliwe jest by niemiecka opinia publiczna wyraziła zgodę na wojnę z Danią o Schleswig-Holstein. I tu zasadza się różnica między zachodnimi ruchami pokojowymi, a nami. Zachodni pacyfiści mówią, że broń jest czymś złym, więc należy ją wyrzucić, stawiając sobie za cel ostateczny rozbrojenie techniczne. My powiadamy, że nie istnieje żaden dowód, który przekonywałby wystarczają-

co, że między rozbrojeniem technicznym a zachowaniem pokoju istnieje związek przyczynowy. Dostrzegamy, że przy obecnych możliwościach technicznych wyprodukowanie wielkiej ilości czołgów, bomb i rakiet to sprawa dni. Zależy nam na utrzymaniu pokoju, a więc chcemy doprowadzić do rozbrojenia politycznego. Zdajemy sobie sprawę z faktu, że osiągnięcie pożądanego rezultatu nie jest możliwe na drodze sprzeciwu moralnego, stąd konieczność działania politycznego. Sprawą na dziś jest nawiązanie kontaktów ze społeczeństwami naszego bloku. Rozbrojenie polityczne, które jest cechą Europy Zachodniej chcemy rozciągnąć przynajmniej aż do Bugu.

Rozmawiała: Aleksandra Ciechanowicz

RECENZJE

J.S.

NIEWZRUSZONE PRZEKONANIA W KSIĄŻCE RÓWNO PRZYCIĘTEJ

Szkice Marka Zielińskiego czytałem z niegasnącym zaciekawieniem, mimo że liczne spośród rzeczy, o których rozprawia, są mi z gruntu obojętne. Piszę na przykład z entuzjazmem o dziele Gołubiewa, które dla mnie pozostaje uparcie nieinteresujące. Pobudzony książką J.J.Lipskiego szuka treści pożywnych w twórczości Kasprowicza, gdy dla mnie twórczość ta jest najzupełniej jałową pustynią. Nic mnie nie obchodzi powieści Słyka czy Drzeżdżona, ani tym bardziej opowiadania Dolińskiej, Bakalarskiej czy Garbarskiej, natomiast Zieliński nie da mi spokoju i uzna, że warto są złego słowa. To wyliczanie mógłbym nieźle jeszcze pociągnąć: z trzydziestu ośmiu tekstów składających się na opiniowany zbiór, około dwudziestu dotyczy zjawisk literackich, którymi w ogóle nie pragnąłbym się zajmować.

A przecież to, co miał o nich krytyk do powiedzenia wydawało mi się na tyle ciekawe, że jakby odsuwało na drugi plan mój brak zainteresowania tym czy innym zjawiskiem. Zdamę sobie sprawę, że mówiąc to od razu, w punkcie wyjścia opinii, uniepotrzebniam w pewnym sensie jej ciąg dalszy, ponieważ trudno już o przychylniejszą ocenę pracy krytyka literackiego. Cóż bowiem bardziej pochlebnego może powiedzieć czytelnik o szkicach publicystycznych czy recenzjach, niż to, że były dla niego atrakcyjne niezależnie od ich przedmiotowych odniesień, że więc nadawały się do

lektury nie jako teksty użytkowe /a przynajmniej nie tylko jako takie/, lecz jako samodzielne utwory prozy krytycznoliterackiej?

Oczywiście, jak większość tego rodzaju zbiorów, również i ten jest tematycznie rozproszony: nie obudowuje się wokół jakiegoś jednego nurtu, typu czy gatunku pisarstwa; nie zaczyna się o jakiś usystematyzowany program ideowo-literacki, ani też takiego programu nie wznosi; nie pozostaje w służbie doktryny porządkującej, która by określała jednolity punkt widzenia krytyka, reguły sztuki interpretacji i kryteria wartościowania. Książki tego rodzaju narastają w biegu zdarzeń życia literackiego, nie są z góry zaplanowane jako spójne całości, składają się z tekstów mających doraźne zadania sytuacyjne. Podążają za tym, co owo życie niesie w swojej przypadkowości - dziełami; które się akurat ukazują drukiem, kwestiami zaprzatającymi w danym momencie uwagę publiczności, sporami krytyków. Każdy z elementów takiej układanki tłumaczy się w sposób naturalny w kontekście i atmosferze momentu, który go zrodził, więc na tle odpowiedniego zeszytu i rocznika czasopisma. Wyjęty ze swoich ram macierzystych i włączony do książkowej układanki znajduje się w sytuacji poniekąd sztucznej. Od jednej hipotezy ad hoc wymaga się wtedy, by jakoś pasowała do innych hipotez ad hoc; kaprys interpretacyjny ma współgrać z innymi kaprysami interpretacyjnymi; przelotna fascynacja powinna zgadzać się z innymi równie przelotnymi fascynacjami; okazjonalny argument winien w miarę szczelnie przylegać do innych okazjonalnych argumentów... Ale taka sztuczność jest po prostu nieosiągalna: poszczególne wypowiedzi coraz to przypominają o swoim indywidualnym "widzimisieniu" - każda chce być na swój sposób kompletna, tak jak była kompletna w chwili powstawania. W recenzji z jednej z książek J.J. Szczepańskiego powiada na przykład Zieliński, że autor ten "jest filozofem okrucinów. Jego pisarstwo żywi się częstokroć...", a omawiając parę stron dalej w drugim artykule inną książkę tegoż, formułuje tezę wyjściową

raczej sprzeczną z poprzednią: "Szczepański jest pisarzem uniwersaliów. Nie interesuje go przypadkowość świata, fabuła zdarzeń, to, co codzienne..." Oczywiście obie te tezy interpretacyjne można by zapewne łącznie uzasadnić w ramach jakiejś dającej się wyobrazić trzeciej - szerszej od nich i odpowiednio je relatywizującej /np. do różnych gatunków czy stadiów pisarstwa Szczepańskiego/. Tego jednakowoż krytyk już nie czyni, godząc się na równoprawność dwóch skłóconych uogólnień na ten sam temat. Trudno o bardziej wyrazisty przykład tego, jak silnie może dawać o sobie znać okazjonalna geneza opinii zawartych w jednej książce krytycznoliterackiej.

Przykład to wszakże tyleż wyrazisty, co odosobniony. W zdecydowanej większości bowiem szkice Zielińskiego wyrastają ponad swoje doraźne uwikłania i sensy czysto okazjonalne - sensy recenzji, polemicznych interwencji czy pamfletów. I dlatego warto było - moim zdaniem - zestawić z nich książkę. Punktem wyjścia jest dla Zielińskiego nie taki czy inny "nagi" fakt literacki, lecz problem, w który ów fakt się wpisuje. Problem Brzozowskiego - dziś odczytywanego, problem niezrozumianego Reymonta, problem zapoznanego Kasprowicz, problem mitotwórcy Gołubiewa, problem Miłosza, problem Głowackiego, problem Dybciaka... Skąd jednak w każdym wypadku - problem? Otóż problem rodzi się nieodmiennie ze zderzenia faktu literackiego - dzieła, twórczości pisarza, postawy pisarskiej itp. - z "kilku niewzruszonymi przekonaniem" na temat powinności literatury, żywionymi przez Zielińskiego. Z jego zbioru wyłania się uchwytny "obraz autora" jako podmiotu owych przekonań. I to jest główny czynnik skalający książkę - ponad jej tematycznym rozproszeniem i nieokreślonością programową. Nie pomyłę się chyba twierdząc, że swoje "niewzruszone przekonania" zawdzięcza nasz autor w poważnej części Stanisławowi Brzozowskiemu, którego pilnie czytał i przemyślał. Wiele się od niego nauczył i z pobranych lekcji wyciąga praktyczne wnioski

w swoich opiniach o literaturze uprawianej w kraju realnego socjalizmu. Ma jej przede wszystkim za złe eskapizm, pełną bojaźni niechęć do podejmowania spraw ważnych dla życia zbiorowego, powierzchowne aspiracje "europejskie" przy braku uwagi na to, co swojskie i bliskie, choć odrażające, uchylanie się od jednoznacznych samookreśleń ideowych i moralnych, brak poczucia hierarchii wartości a więc systemu orientacyjnego, upodobanie do bestrońskiego relatywizmu i wieloznaczności, do dialektycznych zabaw i - jakby to nazwał Głowiński - "socparnasizmu". Potępia ją za to, że nie "sprostała wyzwaniu zła", że nie nazywa rzeczy po imieniu, że nie dociera do twardej rzeczywistości przesłoniętej grą ideologicznych pozorów, że godzi się na beakszałt otaczającego życia i nie pragnie być duchowym drogowskazem dla narodu. Rejestruje - z nieco nawet sadystycznym zapamiętaniem - przeróżne gatunki znieprawień świadomości tutejszych pisarzy /jego szkic o wspomnieniach Tadeusza Drewnowskiego jest jednym z najlepszych tekstów krytycznoliterackich, jakie czytałem w ostatnich latach/, ich systemy samousprawiedliwień, autoetykiety zastępcze, chytne udawanie i przebieganki.

Jest to więc publicystyka krytyczna zaangażowana i pryncypialna /jak to się zwykle kiedyś mówił/, metodycznie podejrzliwa, demaskatorska, w miarę sarkastyczna, szydercza i napastliwa, w miarę patetyczna - gdy mówi o wartościach, które krytyk uznaje za naczelne. Wyrasta z potrzeby powiedzenia prawdy o twórczości żyjącej z półprawd, urządzającej się tak czy owak w przestrzeni życia kulturalnego upaństwowionego, sterowanego i cenzuralnie obezwładnionego. Ale sama przecież w tej przestrzeni zmuszona jest egzystować /choć raczej na peryferiach/ i przymierzać się do tego, co w niej dopuszczalne. Gdyby bowiem Zieliński wyciągnął prawdziwie radykalne wnioski z idei Brzozowskiego, musiałby krytykę skarłałej literatury potraktować jako część przedsięwzięcia szerszego - krytyki systemu

społecznego, dla którego owo skarlenie jest wysoce funkcjonalne. A przecież nie może sobie nawet pozwolić na jasne, pozbawione eufemizmów i pseudonimów, wysłownienie tej zależności. Chce, aby głos jego był słyszalny w ramach kultury oficjalnej, musi tedy wkładać wysiłek w to, by bardziej dawać do zrozumienia, co ma na uwadze, niż nazywać rzeczy ich właściwym imieniem, czego domaga się od pisarzy. Ale i tak nie unika cenzorskich wykropkowań... I z tego paradoksalnego uplątania nie ma wyjścia, jeśli pragnie się opublikować książkę w miarę dobrze wydrukowaną, nie psującą oczu czytelników i równo przyciętą.

J.S.

Marek Zieliński: Kilka niewzruszonych przekonań, Biblioteka Więzi, Warszawa 1987, s.230



MICHAŁ BONI

BRULION

"Okna" Hanny Krall są jedną z wielu prób opisanie polskiej rzeczywistości stanu wojennego. Ale bardziej jeszcze są studium przypadku polskiej literatury stanu wojennego. Literatury, która wyrastając z tradycji niezależnego "Zapisu" chce przede wszystkim świadczyć, dokumentować, przedstawiać raporty, zapisy rozmów i przeżyć, odsłaniać obraz kondycji i stanu społeczeństwa oraz poszczególnych ludzi. Już tytuły powieści czy tomów: Nowakowskiego, Rymkiewicza, Herberta, Bocheńskiego, czy autobiograficzno-dokumentarny ton książek Jana Józefa Szczepańskiego, Konwickiego, Kazimierza Brandysa dowodzą szczególnej uległości tego pisarstwa wobec obowiązku świadczenia. Jest to ze społecznego punktu widzenia zobowiązanie ważne i szlachetne, lecz z perspektywy artystyczno-intelektualnej /jeśli w ogóle literatura może jeszcze być samowiedzą społeczeństwa.../ pełne niebezpieczeństw i pułapek. To skomplikowane uwikłanie zawarte jest w "Oknach" Krall.

Fabularny pomysł tej mikropowieści nie jest

niczym innym, jak figurą nieustannego usprawiedliwiania się, wskazywania na ograniczoność własnego spojrzenia, podkreślania przypadkowości w uzyskaniu obrazu prawdziwego. Bohaterką "Okien" jest Celina, której aparat fotograficzny służy do rejestrowania rzeczywistości. Ma to być rejestracja wiarygodna. Zupełnie jak w opowiadaniu Julio Cortazara i jego filmowej wersji "Powiększeniu" Antonioniego - zdjęcie fotograficzne prawie że przypadkiem ujawnia coś, co miało być skryte, musiało być zakonspirowane. "Okna" to właśnie zdjęcie okien - jednym przypominające własny dom sprzed czterdziestu paru lat, innym córkę, którą tułaczcy los rzuca w lepszy, niż polski świat; a jeszcze innym ukazać może postać ukrywającego się działacza "Solidarności" regionu Mazowsze, w książce obarczonego zmienionym imieniem - Witolda K. Czyżby zatem "Okna" były książką o względności prawdy i przypadkowości jej odkrywania, nawet wówczas, gdy chcemy całkowicie jej świadczyć? A może są po prostu - jak wiele podobnych utworów najnowszych literatury polskiej - wyrazem pisarskiej bezradności wobec zamiaru opisanego świata, który nas otoczył od Sierpnia 1 13 grudnia 1981 roku? Bo właśnie bezradność zdawać się musi na przypadek.

Dlatego też "Okna" są powieścią denerwującą.

Konsekwencją pisarskiej bezradności i obowiązku zapisywania rzeczywistości jest pomieszanie wątków fikcyjnych i dokumentarnych. Właściwie trudno czynić z tego zarzut, skoro dzieje się tak w literaturze dosyć często. Tym niemniej, w prozie Krall nie można odnaleźć żadnych reguł i kryteriów owego zmieszania. Nie wiadomo dlaczego Zbyszek Bujak występuje z imienia i nazwiska, a równocześnie autorka czyni starania o kamuflaż postaci, którą skrywa pseudonimowe - Witold K. Rzeczywisty jest Marek Edelman, a wymyślony młody robotnik, ukrywający się Paweł. Prawdziwa jest Barbara Sadowska, szczególnie w tych gestach, które mają ocalić ją przed poważną rolą Matki-

Polki z czarną zasłoną na twarzy. Powieściowy jest mąż Celiny - Janusz. W normalnej literaturze normalnego kraju taki rodzaj zmieszania fikcji i dokumentaryzmu jest na porządku dziennym. Lecz w przypadku książki Hanny Krall nad żywiołem fabuły i wiernością autentycznego zapisu świata zaczyna dominować, męczący czytelnika - popis środowiskowy. Jest to więc książka o środowisku, a szerzej o przeżyciach, myślach i urojeniach polskiej inteligencji. Te urojenia mają charakter uniwersalny, Celina prowadzi dziennik-pamiętnik dla potomnego, którego ma nadzieję urodzić i którego naprawdę - jak się w końcu okazuje - urodzić nie może. Lecz urojenie jest urojeniem. Choćby było jak najbardziej potrzebne samotnej i zagubionej duszy ludzkiej - jest złudzeniem.

Być może, ów zamysł zmieszania fikcji i dokumentaryzmu służyć ma stworzeniu swobodnego dystansu wobec przedstawionego świata. Podobnie z wszechpanującą narracją, która podporządkowuje sobie nie tylko zachowania, myśli i uczucia Celiny, ale i stylistykę jej dziennika. Jedynie dystans bowiem może zneutralizować dojmujące poczucie bezradności z jednej strony i uległość wobec złudzeń - z drugiej. Tylko taki dystans przybliżyć może autorkę do zadania, które stawia swojej bohaterce - rejestracji tego, czego nie ma, sfotografowania jednorożca. Ale zarazem, dystans ten nie sprzyja powstaniu obrazu panoramicznego. Jego nieokreślony charakter skazuje utwór Hanny Krall na cząstkowość, a w niektórych fragmentach wręcz powierzchowność.

Nawet wysiłek zrekonstruowania socjologicznego typu inteligentki polskiej lat osiemdziesiątych nie może zaowocować, gdyż nad głębią interpretacji polskiego świata dominuje wyraźnie pragnienie opisanego go - w sekwencjach, scenkach środowiskowych, anegdotach czytelnych dla przyjaciół i znajomych. Z powieści-problemu tworzy się powieść z kluczem. Toteż Bujak może w niej wyjść na idiotę z tym swoim przesłaniem kierowanym do zachodu, do Watykanu - że trwamy i trwać będziemy, a redaktor

Bijak na szacownego faceta, chociaż znajdującego się po drugiej stronie podziałów politycznych. Nie to jest zresztą ważne i najbardziej denerwujące w "Oknach".

Książka Krall jest niestety przede wszystkim książką zmarnowanych pomysłów, niewykorzystanych wątków, słabo rozwiniętych problemów. Jest ledwie brulionem, szkicem domagającym się uzupełnienia. Po pierwsze - delikatnie dotyka sprawy drażliwej, czyli formy polskiej, w tym jej kształcie, który przyniosło doświadczenie 16 miesięcy i logika narzuconej narodowi wojny: "Celina składała się z samych wątpliwości, a polskość ta - ze zdań twierdzących". Dotyka również zagadnienia "najważniejszego czasu", który w różnych okolicznościach dla różnych osób trwał rozmaicie - trzy tygodnie dla Edelmana, cztery lata dla Kuronia, trzy dni dla Goździka i parę minut dla Anny Walenty-nowicz. W tych kilku zdaniach na stronie 26 zawiera się ważna kwestia - przemijalności i nieuchronności odchodzenia do lamusa Historii, także i tego, co jeszcze jest bliskie i wydaje się żywe. To bardzo istotne - spojrzeć na Solidarność jak na czas przeszły, już jak na legendę. Tego polskiej myśli i literaturze brakuje, tego Krall do końca nie wypowiada, zatrzymuje się na progu przeczucia, intuicji.

Drugi niewykorzystany wątek. Ostatnie lata przyniosły zasadniczy przełom w relacjach polsko-żydowskich. Fascynacja żydowską kulturą istniejącą na pograniczu polskości, w aurze Europy Środkowej /Żydów Europy Środka - jak twierdzi Edelman - już niestety nie ma/, moralna odpowiedzialność za Holocaust są wyraźne, coraz wyraźniejsze. A z drugiej strony jest i może być tak, jak pisze Krall o młodych ludziach, którzy w mieszkaniu byłego komunisty, starego Żyda, ojca Pauli - rozmawiają ze sobą o tym, że przestali bać się bycia Żydami. A sam ojciec Pauli odkrywa w sobie minione wezwania i zobowiązania, które każą mu otwierać drzwi domu w oczekiwaniu na przyjście Eliasza. Komplikacja i zapętlenie

relacji polsko-żydowskich obecne są w całej twórczości Hanny Krall, także więc i w "Oknach". Zyskują tutaj szczególny wymiar, bo współczesność nakłada się na przeszłość, czas wojenny z lat 1939-1945 spotyka się z czasem wojennym 1981-1984. Dramaturgii tego nałożenia Krall chyba nie wyzyskała.

I wreszcie trzeci problem zawarty w brulionie pisarskim autorki "Zdażyć przed Panem Bogiem". To problem psychologiczno-kulturowej odpowiedzialności za lata stalinowskie. Zagadnienie bardzo obecnie modne, chętnie przetwarzane na filmową fabułę, czy dynamikę wywiadów, trudniej przekładalne na głęboką refleksję nad przypadkiem, który rządzi Historią i losami ludzkimi. Można domniemać, że w roku 1950-ym Witolda K. z książki Krall prowadziłwłos, stwarzając groźbę śmierci, ówczesny pracownik aparatu bezpieczeństwa, wtedy we francuskim berecie, a obecnie w jarmułce - ojciec Pauli, z którym Celina jest osobiście związana aż do czasów, w których przyszło jej ukrywać Witolda K. Cała ta historyjka ma kształt koła, zamykającego symbolicznie jakąś drogę: Polaków, Żydów w Polsce, komunizmu, strachu przed komunizmem i oporu wobec tej odchodzącej w przeszłość ideologii /znakiem tego odchodzenia jest w powieści Krall człowiek w różowej koszuli, współczesny pracownik bezpieczeństwa - a nie żaden tam ideolog, czy polityk/. Gdyby tę historyjkę rozpiąć na literaturę, na pomysł fabularny i postaciowy, na złożoną narrację - powstałby utwór ważny i samodzielny. A tak mamy do czynienia ze scenką, intuicyjnie znakomicie wskazanym wątkiem, brulionowym szkicem do książki, która przedstawiając postać i mentalność akurat Witolda K. - mogłaby otworzyć te rejestry polskiego doświadczenia, na które - niestety - literatura stanu wojennego pozostaje z niewiadomych powodów zupełnie głucha.

Dopiero wówczas bowiem brulionowe "Okna" uzyskałyby swoją własną hierarchię wartości w spoglądaniu na przedstawiany świat, a tworzone w nich dystans otrzymałby uzasadnienie.

I z psychologicznego punktu widzenia ciekawa opowieść o upragnionej i urojonej ciąży zyskałaby właściwe miejsce, nie musiałaby stać się elementem figury nieustannego usprawiedliwiania się z ograniczoności spojrzenia na polską rzeczywistość. A przewijające się przez utwór fragmenty dokumentarnego zapisu z procesu morderców Grzegorza Przemyka stałyby się nie tylko oznaką zapisu chwili, lecz przede wszystkim wydobyłyby z tego tragicznego doświadczenia wymiar uniwersalny. Polski, ale nie kapliczkowy. Ważny nawet nie ze względu na osobę matki, ale w ogóle - ze względu na bezbronność Polski i Polaków. Bezbronność, którą do końca nie jest i nie może być jednoznaczna, bo istnieją takie zapętlenia historii tego miejsca Europy, których metaforą jest skrytka w szafie, beret zamieniony na jarmuškę, czy zdjęcie przypominające i odkrywające różne prawdy - zależnie od punktu spojrzenia.

Ta książka jest denerwująca poprzez wszystko to, czego nie spełnia. Dlatego jest brulionem, jest studium przypadku polskiej literatury stanu wojennego. Ale jest zarazem ciekawa, w bolesnej strefie tego, czego jej brakuje, czemu nie dorasta. Więc warto ją przeczytać.

Michał Boni

Hanna Krall, Okna, "Pokolenie", Warszawa 1987, s.62, cena 300 zł

●
x x x

Dziennikarska czapla-papla,
Paplająca po salonach
W nagłe przerażenie wpadła.
Że taka niedoceniona.

Nagle się na koncept wzmogła:
Ładnie będzie mi w żałobiel
Może zyskam coś na zwłokach,
Gdy wymyślić nic nie mogę?

Suknia Gajki, kurtka Basi,
Po Grzesiu buty i sweter,
I tak trzeba to spitrasić,
By się rymowało z gettem.

Od Bijaka do Bujaka
Wszyscy wpadną w niemy zachwyt,
Choć w puencie nie będzie raka
I hiena - zamiast czapli.

x. Ignacy Biuletyn

Hanna Krall, Okna, "Pokolenie", Warszawa 1987,
s. 62, zł 300



JOANNA LERSKA

STALINIZM W OCZACH DZIECKA CZY MŁODZIEŃCA?

"... i tak się jakoś złożyło, że reżyser Krzystek nie zdołał w swoim filmie wznieść się na wyższy poziom świadomości jaki jest właściwy pięcioletnim dziewczynkom, co jednak znowu bynajmniej nie oznacza, że potrafił przekazać widzom dziecięce spojrzenie na stalinizm" - Jan Walc

W numerze 37 "KN" Jan Walc urządził - z niewątpliwą satysfakcją - pogrzeb filmowi "W zawieszeniu" młodego Waldemara Krzystka, w mowie nadgrobniej nie szczędząc także tych, co skłonni byłiby podtrzymywać jakąkolwiek legendę nieboszczyka. Bardzo szybko doczekał się Walc satysfakcji jeszcze większej - bo nie trzeba było miesiąca, by spełniło się jego sarkastyczne proroctwo /"Na razie brak tylko do uwieńczenia całości jakiejś prestiżowej nagrody - Komitetu Kultury Niezależnej albo festiwalu filmowego w Moskwie na przykład"/ i film został rzeczywiście uhonorowany nagrodą Komitetu Kultury Niezależnej, co w dodatku wcale dziś nie wyklucza ewentualnych laurów w Moskwie.

Walc, jak zwykle, dokonuje morderczej ceremonii nad wyraz sugestywnie. Tym razem nie trzeba się było nazbyt trudzić: film oceniony metodą tendencyjnego /choć nie nieprawdziwego / streszczenia fabuły jawi się istotnie jako kompletny - choć szlachetny w intencjach - idiotyzm. Co więcej, ów zabieg krytyczny,

sam w sobie zawsze problematyczny, nie jest tu prostym nadużyciem, bo stośując go zwraca Walc uwagę na rzeczy istotne. Nielogiczności, znośne w westernie, nie licują z tzw. dziełem ambitnym, tym bardziej gdy ma ono dawać świadectwo rzeczywistości, o której autor ma - jak się okazuje - średnie ledwie pojęcie. Wszystkie naiwności filmu wyliczone przez Walca uznać można oczywiście za nie pierwszorzędne wobec niewątpliwych zalet filmu, ale nie sposób przecie mówić o nich jako o marginalnych, bo składają się na obraz niekłamliwy wprawdzie, lecz z pewnością skłamany. Fakt zaś, iż wynika to nie z cynizmu czy konformizmu, a po prostu z jego naiwności, może być usprawiedliwieniem wyłącznie moralnym, co jak wiadomo rzadko waży na wartości dzieła.

A jednak nie wydaje się, aby w tym właśnie przypadku kwestii tej nie należało w ogóle brać pod uwagę. Z kilku co najmniej powodów, z których niebagatelnym jest i ten, że "W zawieszeniu" jest dziełem debiutanta i to debiutanta z pokolenia, które lata stalinowskie rekonstruować może wyłącznie na podstawie cudzych relacji, bez udziału jakichkolwiek - dziecięcych choćby - wspomnień. Oczywiście, może być tych relacji mniej lub bardziej rzetelnym, rozbudowanym, wnikliwym, obdarzonym - lub nie - wyobraźnią odbiorcą; może na nich poprzestać, lub sięgać głębiej, odtwarzać lub tworzyć, nie wydaje się jednak, by był władny przeniknąć wszystko. Czym jest owo "wszystko" nie wiedzą wszak sami bohaterowie okresu.

Oczywiście można /i nawet należy/ powiedzieć, że anachronizmy filmu Krzystka są niezwykle łatwo weryfikowalne; nie trzeba ani wielkich doświadczeń, ani badań, aby wiedzieć, że skazany na śmierć i zbiegły z więzienia /mniejsza już o to, czy zdarzały się takie ucieczki/ akowiec nie bardzo mógł sobie pozwolić na podróż autostopem, zachowując w dodatku wygląd schludny i przyjemny. Że metody śledcze lat 1949-53 nie ograniczały się do przydługich wprawdzie lecz uprzejmych rozmów przy stole, zaś późniejszych rehabilitacji

nie dokonywano ani tak szybko, ani tak bezboleśnie jak na filmie. Że urząd bezpieczeństwa nie był ani tak nieoperatywny, ani tak altruistyczny, aby gubić wyraźne tropy w pół drogi /czemu to zresztą człowiekowi, który ukrywając się nie przestrzega żadnych prawie zasad bezpieczeństwa, wystarczy raz wyskoczyć na podwórko, by natychmiast zostać zauważonym i zadenuncjowanym?/. W końcu wie już o tym, jeśli chce, każdy niemal student - wolno mniemać, że także Szkoły Filmowej. Swoista infantylność i arogancja, z jaką Krzystek traktuje te i inne stalinowskie realia musi budzić irytację - i w tym względzie łatwo Walca zrozumieć i pewnie nawet mu przyklasnąć. Tyle tylko, że nie wydaje się ani pożyteczne, ani sprawiedliwe poświęcenie tego, co w tym filmie mimo wszystko cenne, na rzecz kilku trafnych i inteligentnych recenzenckich bon motów.

Film Krzystka osadzony jest w epoce stalinowskiej. Nie jest to jednak film, którego głównym celem jest wierne ukazanie codzienności stalinowskiej: ani tej z więzień, ani z ulicy. Dość liczni obrońcy "W zawieszeniu" mówią nawet: to jest po prostu film o miłości, która realizować się musi w warunkach nienormalnych, w narzuconym z zewnątrz ostatecznym zagrożeniu. Film - głównie dzięki aktorom Jerzemu Radiwiłłowiczowi i Krystynie Jandzie - ale także dzięki reżyserowi /który zresztą aktorów sam dobierał/ - w tym sensie udany. A jeśli nawet nie do końca udany, to poruszający i ambitny. Niecałkowita wierność realiom lat pięćdziesiątych nie jest więc istotna, skoro i tak zostaje przekazane to co najważniejsze: owo zagrożenie, będące skutkiem przemocy i broniące się przed nią uczucie z wszelkimi nieuniknionymi komplikacjami psychicznymi przede wszystkim - jakie niesie sytuacja nienormalna.

To prawda. W filmie Krzystka idzie głównie o to, co się dzieje między i co się dzieje wewnątrz bohaterów, a nie o to, co się dzieje z innymi ludźmi, którzy

pojawiają się tu tylko wtedy, gdy są do czegoś /bohaterom lub akcji/ potrzebni. Ważna jest przede wszystkim prawda wewnętrzna, a zewnętrzna jedynie w stopniu niezbędnym. W końcu na ironiczne stwierdzenie Walca, iż "film został zrobiony tak, że równie dobrze akcja mogłaby się toczyć we współczesnym San Francisco albo starożytnym Egipcie" można odpowiedzieć: i co z tego? Sytuacja przedstawiona w filmie nie jest przecież specjalnością wyłącznie polską, a tym bardziej nie wyłącznie PRL-owską. A i w PRLu może mieć swe powtórzenia choćby w stanie wojennym. Tyle tylko, że odpowiedź taka, choć uprawniona, nie byłaby do końca uczciwa. "W zawieszeniu" Krzystka nie jest "Pokutą" Abuladze ani jeśli idzie o rangę, ani o ambicję, ani o problematykę. Bohater "W zawieszeniu" ukrywa się w określonym czasie i w określonym kraju, na co sam reżyser wielokrotnie zwraca uwagę, podejmując tym samym konkretne zobowiązania, tak jak podejmował je np. Has osadzając akcję "Jak być kochaną" w Polsce podczas hitlerowskiej okupacji. Fakt, iż Krzystek obiektem swego zainteresowania czyni nie /jak większość jego kolegów/ formowane /czy raczej deformowane/ przez stalinizm społeczeństwo, lecz dwoje młodych, dla których szczytem nieosiągalnej być może wolności wydaje się wspólny spacer po ulicach - nie zdejmuje z niego winy za wszelkie głupstwa i błędy, które wylicza mu Walc /a nie jest to rejestr pełny/. Sprawia wszakże, że m i m o nich "W zawieszeniu" jest filmem jakoś ważnym - choć przecie i w owym wymiarze "prywatnym" nie jest to nie tylko dzieło wybitne, ale nawet szczególnie odkrywcze - przynajmniej w planie psychologicznym. Bo sam pomysł spojrzenia na stalinizm p o p r z e z tę właśnie zwinioną przez okoliczności, lecz bardzo prywatną sytuację jest w filmie polskim nowy i pozwala z bliskiej perspektywy przyrzeć się temu, co na ogół pozostawało w tle lub poddawane zostawało swoistej retoryce. "W zawieszeniu" mówi o sprawach, o których w syntezach - publicystycznych i artystycznych-stalinizmu się zapomina: o przeżyciach

towarzyszących przecie także tamtej epoce: o miłości, lojalności wobec bliskich, pożądaniu. Jest prawdą to, co obrazowo sformułował Wat: "istota stalinizmu to zatrucie w człowieku wewnętrznego człowieka, żeby się zmniejszył jak te główki robione przez łowców głów, takie zasuszone małe główki a potem, żeby to się /.../ rozpadło w proch", ale prawda ta dotyczy doktryny a nie wszystkich potencjalnie indoktrynowanych. Stalinizm był nieludzką realizacją mała ludzkiej idei co jednak nie znaczy, że uczucia ludzkie przestały wówczas istnieć: zarówno te dotyczące spraw ogólnych jak jednostkowych. Jest coś paradoksalnego w fakcie, iż większość dzisiejszych dzieł o tamtym okresie jest tak samo wyprana z prywatności jak i utwory socrealistyczne, które czyniły sobie z tego jedną z głównych zalet zarówno w imię tzw. "celów wyższych" jak i dewocyjnie pruderyjnej "moralności socjalistycznej". A przecież, choć miłość do komunistycznej partii i komunistycznej przyszłości przesłonić miała całkowicie mieszczańską miłość do matki, ojca, chłopaka czy dziewczyny, w praktyce ideał nie został osiągnięty; świadczy o tym choćby wcale pokaźny w latach 1949-53 przyrost naturalny, czego dzisiaj twórcy - często wtedy właśnie urodzeni - zdają się nie dostrzegać. Nie bez powodu pisał po katowickim filmowym przeglądzie "Czy stalinizm jest fotogeniczny?" Tomasz Burek: "Eros rachunkowego kina ma niezdrową cerę i zimne ręce. Jest /.../ aseksualny bądź perwersyjny. /.../ W świecie wyobrażonym "Dreszczy" zarówno jak "Matki Królów", nie ma miejsca na symbole szczególnie pełni istnienia. Zapanowały bowiem nad nimi symbole gwałtu i przemocy". "W zawieszeniu" przełamuje ten schemat - niezbyt śmiało lecz jednak. Eros święci swe - ograniczone tryumfy. Co więcej, choć gwałt i przemoc decydują o ludzkich losach, lecz nie degenerują jednoznacznie ludzkiej psychiki. Ktoś uczynił zresztą z tego główny zarzut wobec filmu: skąd w tamtej rzeczywistości tylu ludzi dobrych, i uczciwych? Nie wydaje się, aby był to zarzut

ślusznym. Warto wszak - wbrew przyzwyczajeniom - spojrzeć na stalinizm i od tej strony.

Jeśli coś "w zawieszeniu" naprawdę razi, to nie obecność owej "dobroci", a prawie zupełna nieobecność strachu będącego wszak jednym z głównych znamion okresu. Nie "wielkiego strachu", lecz owego strachu codziennego, wszechobecnego; nie strachu może raczej, lecz zastraszenia. I jej pochodnych: nieufności, zamknięcia w sobie, apatii, poczucia daremności operu, dostosowania - oczywiście na miarę małych ludzi z małego miasteczka. Problem ten sygnalizuje u Krzystka jedynie drobny epizod z odmawiającą udziału w pasterce siostrą głównej bohaterki, siostrą, która już wie /i nie odczuwa z tego powodu buntu/, że każda rzecz - nawet tak zdawałoby się oczywiście - jak kontynuowanie studiów - ma swą nie-materialną cenę.

Ale tak czy owak coś z klimatu tamtych lat do filmu przenika. Sprawia, iż mimo niewątpliwych nonsensów, które tu już wyliczono /a także innych - czysto fabularnych/ większość widzów reaguje nie zademonstrowaną przez Walca ironią, a odwrotnie: z przejęciem - i nie jest to chyba wyłączną zasługą aktorów. Jest pewne, że film ten działa przede wszystkim na emocje; obiekty pojawiają się później, podczas projekcji poddajemy się wzruszeniu. Nie jest to zresztą wzruszenie odbierające zdolność myślenia. Zrobić film, który zdolny jest przejąć, a podejmujący temat zarazem trudny i dość ostatnio wyeksploatowany - to na debiutanta nie tak znów mało.

Wydaje się przy tym, że film Krzystka wart jest - paradoksalnie - uwagi także przez swoje ograniczenia, wynikiem z pewnością z owej przynależności pokoleniowej, o której była już mowa. Są to przecie ograniczenia całkowicie różne i z czego innego wynikiem. Krzystek sam jest w sytuacji człowieka, który chce się o stalinizmie czegoś dowiedzieć i jego film - podobnie jak filmy jego rówieśników lub starszych kolegów /a więc "Był jazz" Falka, "Dreszcze" Marczewskiego, "Niedzielne igraszki"

Glińskiego, "Wielki bieg" Domeradzkiego, "Wahadełko" Bajona i inne/ - są swego rodzaju świadectwem, pokazującym do jakiego stopnia zdobycie takiej wiedzy bez żadnego osobistego doświadczenia w ogóle jest możliwe. Trudności o jakie potykają się poszczególni reżyserzy są różnego rodzaju podobnie jak ich intuicja i świadomość. Niezależnie jednak od tego, do jakiego stopnia kreowany przez nich obraz stalinizmu pozostaje tamtym latom "wierny", z dzieł ich wynika, że ogromny obszar spraw jest już dziś niewyobrażalny, zarówno - by posłużyć się modnym wówczas pojęciem - w zakresie "bazy" jak "nadbudowy". Ponieważ nazbyt chyba niefrasobliwie zwykło się przywoływać dziś - głównie w prasie podziemnej - analogie między dniem tamtym a dzisiejszym, pożytecznie jest uświadomić sobie, w jak wielu punktach są one zawodne.

Joanna Lerska

REALIA

JACEK TRZNADEL

WYPLUWANIE ATRAPY

/notatki do sytuacji/

PS. Niech mi wybaczą czytelnicy, że zaczynam od "post scriptum". Oto już po napisaniu tego artykułu ukazał się w "Kulturze Niezależnej" mój "List otwarty do działacza Solidarności", będący jakby zaczątkiem refleksji, które tu kontynuuję. Tekst pobudził polemikę redakcyjną w formie wierszyka /przerób z Norwida/. Redakcja łaskawie przyznaje, że jestem "lirnikiem", który "nadyma się" wydając "wrzask i krzyk", podczas gdy "elektryk" po prostu "działa". Dziękuję ci, losie, za polemistę. Redakcja raz jeszcze oddziela słowa od działania, zdawałoby się już kiedyś połączone /"słowo jest czynem tak dobrym, jak każdy inny czyn" - Irzykowski/. A oto mój "przerób" z Norwida:

WIATRAK OJCZYSTY

Wymarzyłem ja sobie taki raj,
gdzie samo ust tchnienie wiatraki obraca,
bez niepotrzebnych słów to kraj,
gdzie wre skuteczna głuchoniema praca.
Skrzydła furcza, oni dmą - dech działaniu
winni.
Czynni, bo niemi, i niemi - bo czynni.

Cyprian don Kichot Ulotka

x

A teraz dalsze notatki do sytuacji. Najgorsze są godziny przed świtem. Płanie kogutów, a tu ci, którzy powinni być wierni, zapierają

się. I to zapierają się jakby nie tylko w swoim imieniu. Wywiad Bronisława Geremka dla "pronowskich" "Konfrontacji" wzbudził już pewne "ale" /np. Andrzej Frycz w "Woli"/. Chciałbym jeszcze trochę się pospieszać. Zacytujmy raz jeszcze z wywiadu Geremka zdanie parę: "Przyjmuję jednak rzeczywistość polityczną zapisaną w Konstytucji i niezależnie od tego, czy mi się to podoba, czy nie, uznaję, że istnieją pewne dziedziny życia publicznego, w których inicjatywa ograniczania monopolu należy do samej władzy". Następnie wylicza się: politykę zagraniczną i obronę, bezpieczeństwo kraju i "w pewnym zakresie" system przedstawicielski. Wyobrażam sobie rozumowanie odwrotne. W krajach, gdzie rządzą powołane przez społeczeństwo i zmieniające się rządy - a więc nie monopolistyczne - inicjatywa różnych zmian nie jest pozostawiona rządzącym, lecz należy przez cały czas do różnych instytucji i organizacji życia publicznego. Cóż więc dopiero mówić o krajach totalitarnych, jak nasz, gdzie wszystko musi być wymuszane? A dlaczego to inicjatywa żądania zmiany konstytucji - jak najbardziej legalna - nie mogłaby wyjść od społeczeństwa?

Rozumiałbym taktykę walki o prawa społeczne bez formułowania szerszego programu, czyli strategii, bo takie formułowanie może być niewygodne. Nie negujemy uprawnień władzy, ale ich i nie potwierdzamy. A tutaj tyle rezygnacji za jednym zamachem. Czy pragnie się tym dowieść, że mieścimy się w systemie "uznając tożsamość partnera"? Z nadzieją, że "partner uzna naszą tożsamość". Ale władza uznaje tożsamość ludzi opozycji tak, jak strażnik więzienny uznaje tożsamość więźniów, na zasadzie wykluczających się interesów. Podobnie, gdy Wałęsa aż do znudzenia powtarza "nie dążymy do przejęcia władzy", nie wyraża tylko pewnej oczywistości. Bo w żadnym systemie związki zawodowe nie sprawują władzy, a gdyby nawet Solidarność była namiastką partii, do przejęcia władzy nie ma sposobu ani środków. Ale mówiąc tak dokonuje się swego rodzaju legitymizacji władzy. Można bowiem na odcinku

swojej aktywności na rzecz pluralizmu związkowego nie dążyć do przejęcia władzy, a jednocześnie prawomocność tej władzy istniejącej podważać, wskazywać na brak pluralizmu związkowego jako na pochodną braku prawdziwego pluralizmu politycznego.

Za błąd aktualnej Solidarności /jeśli wolno jeszcze operować tak globalnym terminem/ uważam to, że jej taktyka liczy się przede wszystkim z władzą, z komunistami. Tymczasem dla skuteczności działania przywódcy opozycji muszą także umieć zdobywać społeczeństwo. I sądzę, że jeśli chcą oni zachować swój społeczny prestiż i wiarygodność, niech albo milczą w sprawach programowych, albo mówią to, do czego dojrzała już wcale liczna część społeczeństwa. Może się bowiem okazać, że ruch z którym tak słusznie łączyliśmy swoje nadzieje, może - poprzez wciąż aktualny prestiż, a jednocześnie niezdolność do zmiany taktyki na skuteczną - blokować przemieszczenie się społecznej fali w innym, słuszniejszym kierunku mobilizacji. Nie można zapominać o tym, że w demokratycznych krajach, gdzie istnieje rzeczywisty pluralizm związkowy /a na taki pluralizm i odpowiednie konwencje międzynarodowe powołujemy się/, związki zawodowe to także aktywnie występujące siły polityczne, oddziaływające nie tylko na sprawy ekonomiczno-pracownicze.

x

Społeczeństwo nasze wciąż jeszcze jest społeczeństwem zabitej agresji. Poskromionego gniewu. Zamordowanej spontaniczności. Myślę tutaj o emocjach społecznych, emocjach, które ujęte w tamy rygoru są podstawą społecznego działania. Bo oczywiście burdy pijackie i codzienna agresja zwekslowanego gniewu rzuca się każdemu w oczy i skacze jak wściekły pies do gardła. Ale przełykamy przecież inwektywy i upokorzenia, coraz chytrzejszy bezwstyd środków masowego przekazu. Przełykamy niewolę, przemoc sytuacyjną i panoszenie się bezwstydnego establishmentu. Marnuje się już życie dwu pokoleń.

Gdzieś napisano z aplauzem o tym, że minister Urban może chodzić bez obstawy w kraju, któremu obca jest agresja i gwałt. Ten zachwyt nad społeczną pokorą i źle zrozumianą miłością przeciwników nie jest mi bliski. Orędowaniem takiej postawy jest także Kościół. Tymczasem agresywność jest czynnikiem potrzebnym. Wyłączam z tak rozumianej agresji fizyczną przemoc, nienaruszalność osób wydaje mi się bezdyskusyjna. Nie chciałbym, aby spadł choć jeden włos z łysiny reprezentantów władzy. Niechże się, broń Boże, nic im nie stanie. Ale dobrze by było, gdyby przy różnych okazjach /lubią na przykład odwiedzać zakłady pracy/, ale i bez okazji, słyszeli pomruki społecznego gniewu /a mruczeć z gniewu jest zdrowo/ i żeby się bali. Żeby chodzili z tymi swoimi niepotrzebnymi obstawami, czując gniew w fabryce, tramwaju, pociągu, na ulicy, na uczelni i za drzwiami prywatnych mieszkań. Bez tego pomruku społecznego gniewu nie zrezygnują nawet z połowy swoich cynicznych zachowań. Nie tylko my powinniśmy być przedmiotem agresji, agresji niewoli, agresji dyktatury, agresji nieudolności rządzenia, agresji wyzysku społeczeństwa w imię planów imperium. Niech pamiętają, że nie tylko "ekipy" mają kres, ale i dyktatury.

x

Z zadowoleniem widzę, że mniej jest irracjonalnych zachwytów nad Gorbaczowem i "pierestrojką", a więcej rzeczowych obserwacji. Ale i tu nie brak przesady w zachwycie nad rzeczywistym rozluźnieniem "żelaznego gorsetu" jeśli chodzi o stosunek do przedwczorajszej historii. Ktoś zrozumiał, że nie można do reszty zniechęcać społeczeństwa, że trzeba mu coś dać jako "rekompensatę" gwałtów i upokorzeń. Ktoś obliczył, że po upływie pół wieku prawda nie jest już groźna. Tak więc znów przyznano się do sądowych morderstw na kilkunastu czy kilkudziesięciu osobach związanych z partią komunistyczną w ZSRR. Bucharin przesłał był agentem ochrony i kapitalizmu, a Tuchaczewski szpiegiem niemieckim. Ale słowo

"morderstwo sądowe" to moje określenie - w komunikatach mówi się tylko o "umorzeniu" zarzutów i rehabilitacji. Eufemizmy, gdyż "umarzanie" może dotyczyć tylko śledztwa będącego w toku. Ale znów, jak kiedyś w słynnym referacie Chruszczowa na XX Zjeździe, ubolewa się przede wszystkim nad cierpieniem, zadany członkom partii, i osłabieniem komunizmu. A przecież ludobójstwo dotyczy poszczególnych ludzi. A gdzie jest wiele milionów tych niesłusznie skazanych i zamordowanych sądownie przez rozstrzelanie i obozy zagłady? Ile by trzeba wyciąć tajg syberyjskich, żeby ogłosić te imiona? Ile podań rodzin musiałoby wpłynąć i czy miliony tych podań mogłyby być rozpatrzone? Ale znów - i cały czas - winne są tylko te dwie lub cztery osoby: Stalin, Beria, Jagoda, Jeżow? A kto zasiadał w nieprawych sądach, gdzie są świadkowie sądowych kłamstw, funkcjonariusze systemu? Gdyż trzeba całej maszynarii, aby wymordować miliony istnień. Jeśli nawet proces denazyfikacyjny w Niemczech nie odbył się nigdy do końca /co zresztą nie jest możliwe/, to przecież były procesy, są jeszcze. W tym sensie proces zdebolaszewizowania ZSRR nawet się na dobre nie rozpoczął. Wstrzymam oddech, gdy rozpoczną się procesy emerytów odpowiedzialnych za zbrodnie. A renty dla tych, którzy stracili zdrowie w łagrach i jeszcze żyją?

W związku z tym wszystkim pozostaje niedawny list polskich intelektualistów do intelektualistów rosyjskich w sprawie zbrodni katyńskiej: "Prawda musi zostać głośno wypowiedziana. /.../ jest to warunek konieczny radykalnej zmiany między naszymi narodami". Dodam, jeden tylko z koniecznych warunków. Czy najważniejszy? Nie wątpię, że podobny apel z jawnymi podpisami skierowany choćby tylko dwadzieścia lat temu byłby aktem odwagi i społecznego wymuszania prawdy. Ale dzisiaj prawdy o zbrodniach Stalina stają się także jako narzędzia propagandy, ukrytymi w rękawie "jokerami" kierownictwa sowieckiego. Katyń? Ogłosi się to, o czym wszyscy wiedzą, i to wiedzą od momentu popełnienia zbrodni. A opinia

światowa wie od chwili ogłoszenia raportu Komisji Kongresu USA w roku 1952.

Jedyną pozytywną cechę wspomnianego listu widzę w tym, że zwraca się ona nie do kierownictwa sowieckiego, lecz ustala jakby nieformalne linie porozumienia między intelektualistami tego i tamtego kraju. Ale list, jeśli już został napisany, powinien iść o wiele dalej, można było dopisać jeszcze z pół stroniczki. Bo należy żądać także: powołania komisji śledczej w sprawie tej największej zbrodni dokonanej w czasie drugiej wojny światowej na jeńcach wojennych-oficerach. A więc ludobójstwo, zbrodnia bez precedensu. Należałoby udostępnić miejsce zbrodni katyńskiej oficjalnym delegacjom polskim. Może należałoby także przystąpić do symbolicznych działań ekshumacyjnych, a wtedy okazałoby się, czy zostało coś z tych biednych szczątków, czy też wszystkie ślady zostały zatarte po wkroczeniu na te tereny znów NKWD, i po tak zwanej drugiej, sowieckiej komisji katyńskiej. Można domagać się otwarcia archiwów NKWD, dotyczących tej sprawy, tak jak zostały udostępnione archiwa nazistowskie. Myślę, że w tym względzie należy spodziewać się pożarów archiwów... Należałoby też domagać się prowadzenia badań, w archiwach, i przez szukanie świadków, w sprawie więźniów Ostaszkowa i Starobielska. Jak dotąd cała zasługa odkrycia grobu więźniów Kozielska pozostaje przy hitlerowcach...

A i to jeszcze nie przyniosłoby "radikalnej" zmiany w stosunkach polsko-sowieckich. Dopiero obalenie imperialnej zależności, nieingerencja w sprawy polskie, byłyby cechą zmiany radykalnej.

Wie o tym wszystkim na pewno Andrzej Drawicz, który - jeśli wierzyć jego pamięci - potrafił już w 1957 roku powiedzieć po powrocie z ZSRR: "Widziałem faszyzm" /"Pierwsze spotkanie: Moskwa 1957", "Brulion" 2 - 3, s.71/. Jeśli jednak tak, to nie rozumiem go, gdy z takim aplauzem cytuje Jurija Czerniczenkę: "Do tej pory nie mogę uwierzyć w szczęście pisania tego, co się myśli..."

/"Tygodnik Powszechny" 1988, nr 12/, czy z pewną emfazą mówi o Malenkowie "prawej ręce Stalina", że "rozumiał i czekał", a potem "śpiewał w cerkiewnym chórze"... Ciekaw jestem co tym razem sądzi na ten temat Michel Heller? Bo ja myślę, że raczej nie za wiele sobie jeszcze myśli Czerniczenko, jeśli może się tak otwarcie wypowiadać. U nas wystarczy obejrzeć jeden numer "Tygodnika Powszechnego/", żeby tarzać się ze śmiechu widząc ogrom interwencji cenzury. A może lepiej drukować "Kulturę Niezależną" w Moskwie? A co do zdziwienia nad Malenkowem, to na pewno znaleźlibyśmy także iluś generałów Hitlera /bo najbliżsi zostali jednak - "te prawe ręce" - powieszeni w Norymberdze/, którzy jeszcze dziś śpiewają w jakimś protestanckim chórze? Temat do powieści à la Dostojewski, może, do publicystyki mniej się nadaje. Boję się jednak, że prawda o Malenkowie, Berii i Chruszczowie mogłaby się okazać równie potworna i równie banalna, jak prawda o Eichmannie... Tyle, że partia, której przywódcy i funkcjonariusze popełnili zbrodnię ludobójstwa, istnieje wciąż "ta sama, choć nie taka sama". To trochę tak jakby w Niemczech wciąż trwała NSDAP, ta sama, choć nie taka sama.

Muszę powiedzieć, że dzisiaj zachwyt mógłbyśmy odczuwać tylko w stosunku do tych ludzi sowieckich, którzy byliby gotowi nie tylko do wyznania rejestru zbrodni ludobójstwa, ale i głosiliby konieczność zlikwidowania ostatniego wielkiego imperium kolonialnego na świecie. Kolonializmu. Z pierestrojką i Gorbaczowem bowiem rzecz ma się nie tak przede wszystkim, czy udzieli on albo nie udzieli nieco większej swobody ciemiężonym społecznościom sowieckich socjalistycznych republik, w tym także republiki rosyjskiej. Miałoby to oczywiście znaczenie w perspektywie historycznej ewentualnych dalszych zmian. Intelktualista jednak nie może ograniczyć się do popierania wolności, która zaowocuje w historycznym rozwoju. Intelktualista bowiem w każdej chwili i za każdym razem powinien mieć wizję postulatów pełnej wolności, a ten postulat w stosunku

do Związku Sowieckiego oznacza przede wszystkim domaganie się pełnej dekolonizacji, w tym i naszego kraju. Oznacza postulowanie także swobody odrywania się od imperium sowieckiego poszczególnych republik lub prowadzenia polityki niezależnej. Tymczasem nie mam żadnej wątpliwości, że najdalej nawet posunięty scenariusz gorbaczowowskiej pierestrojki ma na celu tylko wzmocnienie istniejącego imperium. Ceną skuteczności imperium jest w tej chwili pewne poszerzenie wolności. Ten entuzjazm obywateli bardzo jest Gorbaczowowi potrzebny. Myślę, że ogromna musiała być zazdrość Stalina gdy patrzył na rzeczywiście frenetyczne, a nie spędzone hitlerowskie wiece... Sprawiedliwość ma także wzmocnić dumę obywateli ZSRR z ich imperium, o pokusie tej dumy nie należy nigdy zapominać. Rozumiem oczywiście, że każde poszerzenie wolności jest groźne dla tego, co wolnością nie jest, ale nie wątpię także, że silniejsze imperium będzie mogło nas skutecznie niewolić. Ustalając linie łączące Polaków z obywatelami imperium sowieckiego, nie należy także zapominać, co w tej sytuacji jest odmienne. Trudno dawać słowo honoru, ale gdyby nie "osłona" starszego brata, reżim komunistyczny w Polsce nie mógłby chyba potrwać długo...

x

Jak złudzeniem jest przekonanie o paralelizmie sytuacji pierestrojki w ZSRR i w Polsce, podobnie złudzeniem jest montowane często, a czasem i spontaniczne przeświadczenie, że w procesie demokratyzacji zdobywanej na władzy komunistycznej lub realizowanej przez tę władzę, wytwarza się coraz większe podobieństwo praw obywatelskich w Polsce do modelu demokracji zachodnich. Gdyby to były tylko deklaracje ministra Urbana, można by je pominąć. Ale ten duch "okcydentalizacji" zamierzony i pozornej wkrada się także do poczynañ i języka ludzi, będących w takiej czy innej opozycji do systemu komunistycznego.

"Rządzić Polską skutecznie można tylko w porozumieniu z Solidarnością" - głosi jej duchowy przywódca i jego doradcy. "Musimy usiąść do wspólnego stołu obrad". Otóż słowo "porozumienie" używane jest tutaj trochę w znaczeniu, w jakim w ustrojach demokratycznych mówi się o porozumieniu legalnie istniejących np. partii politycznych, pragnących utworzyć bloki czy koalicje. Rządy, owasem, pertraktują nawet ze związkami zawodowymi, z których większość emanuje przecież z łona konkretnych partii politycznych. Natomiast mówić o "porozumieniu" z rządem totalitarnym grupy wolontariuszy nie mających żadnej legalnej osobowości prawnej, jest semantycznym także nieporozumieniem. Jest to przecież także slogan, gdyż władza na współrządzenie nigdy się nie zgodzi. Oczywiście te działania "obrzeżne" Solidarności są ważne, wymusza ona uszanowanie swojej obecności, ale poza jej żądaniem stoi postulat wielopartyjności, pełny pluralizm polityczny. Czy nie lepiej o tym mówić otwarcie? Czy nie jest na rękę władzy kanalizowanie postulatów tylko w mało skutecznych deklaracjach związkowych? Gdyż warto byłoby stale przypominać, że opozycji w znaczeniu zróżnicowania politycznego kraju u nas nie ma /ostatnią taką opozycją było PSL/, są tylko mniej czy bardziej rozproszeni opozycjoniści.

Dlatego za jeden z najważniejszych przejawów polskiego życia politycznego ostatniej doby uważam powołanie Polskiej Partii Socjalistycznej. Jak dotąd ma to wymiar - jak dowiodła praktyka - raczej gestu, ale gest ten - jako pomysł na partię w ogóle - ma znaczenie olbrzymie. W Polsce należy, i owszem, zawiązać wpływową wśród opozycjonistów partię polityczną i domagać się udziału jej w parlamencie, co dopiero stworzy prawdziwą sytuację domagania się pluralizmu politycznego. Nie szkodziłoby także, gdyby związki zawodowe domagające się rejestracji emanowały z kręgu wpływów podobnej partii. Wyjdziemy wtedy z zaklętego kręgu idei skutecznego strajku powszechnego, który dowiódł już swojej nieskuteczności i uruchomimy jeszcze jeden kanał

działalności domagającej się zalegalizowania.

Powołanie niezależnej partii opozycjonistów było więc najlepszym pomysłem ostatnich czasów. Tak, ale uważam, że nie taka powinna być "skuteczna" nazwa nowej partii i że właśnie z tą nazwą łączy się fakt, że jak się zdaje, pomysł "nie chwycił" /jak dotąd/. Nie ma zachwyty. Na pewno przecież pod inną nazwą mogłyby być formułowane elementy słusznego demokratycznego programu. Czy można bowiem cofnąć bieg historii? Słowo socjalizm zostało w Polsce i w bloku wschodnim tak skompromitowane w masach, chyba także w młodym wstępującym pokoleniu robotników, a także inteligencji, że powołanie PPS, także ze względów semantycznych, może sprawiać wrażenie emocjonalnego dążenia do legalizmu. Jakże to niezręczne: my chcemy socjalizmu i rząd chce socjalizmu... Może na to ktoś powiedzieć, że nie ma już słów zręcznych. Ale społeczeństwo to nie historycy, którzy rozróżniają między zdradziecką linią Cyrankiewicza i demokratyczną, niepodległościową linią Pużaka i Ciołkoszów.

Podobnie myślę, że tradycje historyczne, do których odwołuje się Konfederacja Polski Niepodległej, zmniejszyły szansę jej oddziaływania, ze względu na obawy nacjonalistyczne. To spowodowało jej samotność w chwili powstania, a może działa i do dnia dzisiejszego. O wiele lepszą nazwą /nie chcę tutaj rozważać programów/ było Polskie Porozumienie Niepodległościowe. Była to jednak nazwa tylko "docelowa". Jednym słowem potrzebna nam jest partia, która mogłaby stać się sztandarem ludzi, którym bliska jest Solidarność. Nie byłby to ruch konkurencyjny, może nawet często bliźniaczy, przemawiający w miejscach nie wypełnionych przez Solidarność, ale apelujący także do tych, których długa historia lub aktualna nieskuteczność Solidarności zawiodła. Ruch, który mógłby podnieść hasła uzupełniające, których nie mają lub nie chcą używać ludzie z Solidarnością związani, jako ruchem związkowym.

Łatwiej skrytykować istniejący pomysł niż rzucić inny. Myślę, że Polska Partia Demokra-

tyczna prędzej zadowoliliby wszystkich, po zachwianiu słowa "lewica". A może Partia Rzeczypospolitej Polskiej? PRP? Różniłaby się od "ludowej" /"rzeczpospolita ludowa" jest zwykłą tautologią, ale komuniści się na tym nie znali/, miałaby w sobie docelowość, ale do tej docelowości by się nie ograniczała. Ale dość fantazji nazwo-twórczych. Nowa, skuteczna i zyskująca poklask całych mas społeczeństwa partia powstanie, bo powstać musi. Wtedy dowiemy się jej nazwy. Czy będzie to Polska Partia Solidarna?

x

Motywnie przewodnim wszystkich prawie, czy - powiedzmy - większości rewidykacji polskich opozycjonistów jest sytuacja gospodarcza i ekonomiczna, pluralizm polityczny traktuje się tutaj najczęściej jako niezbędną przybudówkę demokratyczno-liberalną gospodarki. To duży błąd w literze programu przynajmniej. Bo oto nie jest wykluczone, że rząd złamie w jakiś sposób część nomenklatury i wprowadzi skuteczniejsze formy zarządzania i gospodarki. Łamanie własnej grupy - nawet za pomocą terroru wewnątrz nomenklatury, nie jest niczym nowym w historii komunizmu. Znamy także przykłady państw totalitarnych, które całkiem nieźle dawały sobie radę z gospodarką we wszelkich zakresach. Oczywiście, najlepszym przykładem są Niemcy hitlerowskie i Włochy faszystowskie. Nie doprowadzono tam do "nacjonalizacji i unarodowienia" gospodarki, gdyż i Hitler i Mussolini zdawali sobie dobrze sprawę, że biurokracja partyjna zabiłaby wszystko, a potrzebowali gospodarki skutecznej w obliczu przyszłej wojny. Potem poddana została ona prawom specjalnym, wojennym, ale to już co innego.

Uzdrowienie więc gospodarki w ramach perestrojki nie musi wcale oznaczać walenia się państwa komunistyczno-totalitarnego - ani w Związku Sowieckim, ani u nas. Dlatego odłączanie reformy gospodarczej /"bułeczki, bułeczki..." / i podnoszenia mas z nędzy - od żądań

demokratycznych i niepodległościowych, od postulatów moralnych, jest jednym z największych niebezpieczeństw chwili obecnej. Mogłoby się bowiem zdarzyć, że masy poddały presji i nacjonalizmu, i totalitaryzmu zarazem, przyjęłyby model i gorset duszący imperium, skoro "żyć stałoby się naprawdę weselej". Nie wolno o tym zapominać. Hitler pozyskał masy także dlatego, że dał żarcie, pracę i mieszkanie... A czy nie tak w końcu miał i ma wyglądać prawdziwy komunizm? Takie poparcie mas może właśnie w Związku Sowieckim jest wreszcie możliwą i realną perspektywą totalitaryzmu? Przypominam to tym wszystkim, którzy uważają, że totalitaryzm i komunizm mogą się tylko zawalić.

Dlatego właśnie walka o "polepszenie" i "zmianę" bytu, z pominięciem walki o niepodległość i demokrację są zgoła niewystarczające. Ta walka o polepszenie bytu jest zresztą dla mnie zgoła wiarygodnym zamiarem ekip rządzących w bloku wschodnim. I obyśmy nie dali się sprzedać za "miskę ryżu", jak Chińczycy. Nazywa wreszcie po imieniu rzeczy Jan Paweł II, gdyż jego nową encyklika społeczna /Sollicitudo rei socialis/ niedwuznacznie, ba, wprost mówi o nieludzkości ustroju, rządzonego przez jedną ideę i monopartię /inne partie przecież w bloku wschodnim są tylko transmisjami/.

Nadzieja moja polega na tym, że biegu wstecznego komunizmu nie będą w stanie uruchomić, bo zdaje się to wprost niemożliwe z punktu widzenia inercji istniejącego systemu /Hitler niczego nie demontował/ i do powstania silniejszego imperium totalitarnego nie dojdzie. Nie zmienia to konieczności uwzględnienia wyżej przytoczonych postulatów, bo ryzyko zawsze istnieje. Nie znaczy to, iż traktuję nędzę mas instrumentalnie, jako drogę do zniszczenia komunizmu. Wprost przeciwnie: podnoszenie ich poziomu życia, jednocześnie ze świadomością drogi do pełnej demokracji i pełnej suwerennej wolności, uważam za człony działania wzajemnie się warunkujące.

Także przekonanie, że totalitaryzm komunistyczny rozpada się, ponieważ rozpada się ideologia, nie jest zasadne. Ideologią totalitaryzmu komunistycznego była zawsze wiara w dyktaturę partii, w scentralizowane partyjne kierownictwo, kontrolujące życie rządzonego kraju przy pozorach demokracji. Przepisy konkretne i "księgi święte" marksizmu-leninizmu były tu dodatkiem, jakby pierwszym członem rakiety, który odpadł. Głowica pozostała i unosi się na falach społecznego ucisku. Bowiem ze wszystkich zasad tylko jedna: rządy kierownicze partii komunistycznej i ogólnikowa wiara w socjalizm i komunizm, wydają się dla rządzących komunistów niepodważalne. Odpadnięcie z ideologii magicznej roli "ksiąg świętych" posiada oczywiście kapitalne znaczenie, ale zmiany "ilościowe" nie doprowadzą do obalenia dyktatury komunistycznej. Dlatego rewizjonizm stanowiąc może etap walki z komunizmem nie mógł i nie potrafił dotknąć jego zasadniczego jądra, brutalnego jak wszelka dyktatura i irracjonalnego, jak wszelki fanatyzm.

Dlatego nie unikając podważania systemu przez domaganie się szeregu drobnych innowacji i zwiększania praw demokratycznych - opozycjoniści "głównego nurtu" muszą domagać się tego, co jest oczywiste dla wszystkich odmawiających dobrej wiary systemowi: wprowadzenia systemu rzeczywiście wielopartyjnego i rozpiśnięcia wolnych wyborów. Oznacza to w języku taktyki walkę o przyszłą ordynację wyborczą. Znowu rzecz legalna, nie bardziej beznadziejna niż walka o legalizację wolnych związków zawodowych. Ale także w ramach obecnego systemu opozycjoniści powinni domagać się: rewizji konstytucji, zneutralizowania kraju i wystąpienia z paktu warszawskiego, wraz z likwidacją baz sowieckich na naszym terytorium, podania do publicznej wiadomości cyfr budżetu zbrojeniowego, ograniczenia armii. Wydanie paszportu powinno być tylko czynnością administracyjną, a jego odmowa powinna następować

tylko na wniosek prokuratora, zaskarżalny sądownie. Stale obecny powinien być także wniosek zniesienia cenzury. POstulaty podobne zniknęły prawie z wypowiedzi opozycjonistów, wiele w ogóle nie było formułowanych w głównych nurtach opozycjonistów. Kłóci się to z nową sytuacją kraju. W istocie opozycjoniści powinni umieć wysuwać hasła zupełnie nowe, a nie eliminować z pola widzenia rzeczy oczywiste dla większości społeczeństwa. Rządząca partia zdecydowała danie wolności większości więźniów politycznych nie tylko z powodu nacisku społeczeństwa, ale także dlatego, że nie czuje się poważnie zagrożona. Nie ludźmy się, więzienia w każdej chwili mogą się zapełnić, gdyby postulaty uległy zaostrzeniu /przykładem los Kornela Morawieckiego/.

Obecne, jakby legalistyczne w formie dążenia opozycjonistów streścił dobrze Jan Błoński mówiąc w udzielonym "Tygodnikowi Powszechnemu" wywiadzie o "przeżeraniu" struktur oficjalnych przez demokratyczny ruch dążeń społecznych. Zgadzam się z określeniem tendencji, widzę ich pożytek, ale nie podzielam optymizmu co do możliwości "przeżarcia" komunizmu. Jak na razie to raczej wszystko zostało "przeżarte" przez komunistyczną degradację. Bowiem "przeżeranie" zawsze natknie się na granicę, poza którą partia już go nie dopuści. Mogłoby to być tylko efektem generalnego załamania się siły komunistów. Na razie "przeżerając" pamiętajmy, że jesteśmy także pod wpływem tego dziwnego toksycznego gazu, którym oddycha całe społeczeństwo, gazu niewoli.

x

Ostatnia tu sprawa - o ujawniającej się w ostatnim czasie atrakcyjności pojęcia "normalności". "To jest normalne" - mówi wybitny pisarz - "że drukuję w państwowym wydawnictwie tak jak na całym świecie". Oczywiście, nie jest to "normalne", bo w większości krajów demokratycznych nie ma państwowych wydawnictw poza mennicami. Otóż trzeba przyjąć, że w niewoli wszystko staje się nienormalne, więc

trzeba dążyć do prawdziwej normalności, a nie uznawać za normalne tego, co normalne nie jest. Trzeba się odtruwać, każdy ma na to swoją własną receptę. Ja też stosuję własne magiczne sposoby. Gdy oglądam na przykład tak zwane "osobistości przywódcze" w telewizji - a muszę to czasem robić - uruchamiam jakby trick, ale nie telewizyjny, tylko psychiczny - umieszczam ich w klatkach, za prętami. Antycypuję w ten sposób osąd historii, wyrzucam więc z siebie fantasm normalności, zastępując go moją prawdą. Czy tylko ja to robię, nie, robi to cała masa ludzi, każdy na swój sposób. Wypluwa-
my tę nieszną, cuchnącą, żrącą i nie do zgryzienia atrapę normalności.

X

Wiem, że to, co napisałem, należy do dziedziny słów, jak wszelka programowość, wszelkie pisanie. Często wypowiadałem tu także sądy, które nie są tylko moim wynalazkiem. Czy wypowiadanie sądów, słów, należy do działania? Chyba jednak jest to jeden z rodzajów działania, choć o ograniczonym wymiarze. Chciałbym przyezynić się do ograniczenia flirtu z atrapą i wyłączenia programów działania bezsilnych.

kwiecień 1988

Jacek Trznadel

DOKUMENTY

W pierwszych dniach maja 1988 w różnych środowiskach powstało wiele oświadczeń w związku z aktualną sytuacją w kraju. Publikujemy kilka z nich.

Red.

OŚWIADCZENIE PISARZY KRAKOWSKICH

Odpowiadając na apel Lecha Wałęsy wyrażamy solidarność ze strajkującymi robotnikami Nowej Huty i Stoczni Gdańskiej, ze studentami Uniwersytetu Jagiellońskiego i innych uczelni. W obliczu grożącej krajowi katastrofy wzywamy władze PRL do zaprzestania działań pozornych i do bezzwłocznego podjęcia dialogu z rzeczywistymi przedstawicielami polskiego społeczeństwa.

Jan Prokop, Wiesław Szymański, Tadeusz Chrzanowski, Leszek Elektorowicz, Włodzimierz Maciąg, Marta Wyka, Kazimierz Traciewicz, Kornel Filipowicz, Natalia Rolleczek, Jacek Stwora, Włodzimierz Wnuk.

3 maja 1988

OŚWIADCZENIE PISARZY WARSZAWSKICH

W obliczu trwającego od lat kryzysu, rosnącej biedy, rozpacz i beznadziei, wyrażamy zrozumienie i solidarność z protestującymi robotnikami i studentami. Polityka twardej ręki, pogróżki, insynuacje, aresztowania, wreszcie łamanie strajków siłą - nie rozwiążą żadnych problemów, mogą jedynie doprowadzić kraj do upadku.

Przyłączamy się do wezwań o szukanie przez władze porozumienia z rzeczywistymi przedstawicielami społeczeństwa polskiego, o dopuszczenie do współodpowiedzialności za kształt życia w Polsce realnych ruchów i sił społecznych, w tym na pierwszym miejscu Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego "Solidarność", a także innych dobrowolnie powołanych stowarzyszeń zawodowych, gospodarczych, kulturalnych, środowiskowych. Nie pozorowana, lecz autentyczna, konsekwentna demokracja we wszystkich dziedzinach życia - to jedyny ratunek przed katastrofą.

Jacek Bocheński, Marian Brandys, Andrzej Braun, Jerzy Ficowski, Julia Hartwig, Artur Międzyrzecki, Marek Nowakowski, Jarosław Marek Rymkiewicz, Andrzej Szczypiorski, Wiktor Woroszyński.

5 maja 1988

OSWIADCZENIE TWÓRCÓW KULTURY

Raz jeszcze dochodzi w Polsce do fali robotniczych protestów przeciw nieznosnym warunkom życia, jakie powoduje nastawiona na prymitywny wyzysk, egoistyczna i nieudolna polityka rządzących. Ściągają oni na kraj coraz groźniejszą dla narodu klęskę gospodarczą, a jednocześnie tłumią wszelkie autentyczne ruchy społeczne, nie pozwalają nam normalnie pracować, organizować się, swobodnie wypowiadać.

Raz jeszcze Polacy mówią głośno, że chcą i n a c z e j ż y ć.

Solidaryzujemy się ze strajkującymi robotnikami. Potępiamy użycie przemocy w tłumieniu strajków.

Jednocześnie zwracamy uwagę, że żądania płacowe nie doprowadzą do oczekiwanych przemian. Podwyżki płac zostaną natychmiast odebrane podwyżkami cen.

Uważamy, że do istotnych zmian w sytuacji społecznej może doprowadzić spełnienie trzech następujących postulatów:

1. Wolności stowarzyszeń, w tym wolnych związków zawodowych, wraz z NSZZ "Solidarność".

2. Wolności dla gospodarki, w tym rzeczywistego odejścia od systemu nakazowo-rozdzielczego, otwarcia dróg dla prawdziwej spółdzielczości i wszelkich inicjatyw gospodarczych.

3. Zerwania z praktyką wrogiego i pogardliwego stosunku władzy do społeczeństwa.

Marek Budzyński /architekt/, Henryk Buszko /architekt/, Jacek Cybis /architekt/, Henryk Dwernicki /architekt/, Andrzej Fajans /architekt/, Aleksander Franta /architekt/, Aleksander Jagiełło /architekt/, Stanisław Jankowski /architekt/, Andrzej Kiciński /architekt/, Jan Kofman /historyk/, Bohdan Kosiński /filmowiec/, Konrad Kucza-Kuczyński /architekt/, Jerzy Kuźmienko /architekt/, Zdzisław Łapiński /historyk literatury/, Andrzej Miklaszewski /architekt/, Andrzej Osęka /krytyk sztuki/, Aleksander Paszyński /publicysta/, Piotr Sembrat /architekt/, Janusz Sławiński /historyk literatury/, Zofia Stefanowska /historyk literatury/, Zygmunt Stepiński /architekt/, Jerzy Szaeki /socjolog/, Andrzej Szczepkowski /aktor/, Jacek Trznadel /historyk literatury/, Jerzy Turowicz /publicysta/, Olgierd Wcisło /architekt/, Piotr Wicha /architekt/, Aleksander Wojciechowski /krytyk sztuki/, Andrzej Wyszyński /architekt/, Roman Zimand /historyk literatury/.

OŚWIADCZENIE

My, niżej podpisani, uczestnicy spotkania w dniu 8-go maja 1988 r., zaproszeni przez przewodniczącego NSZZ "Solidarność" Lecha Wałęsę, solidaryzując się z robotnikami w Nowej Hucie, Gdańsku i innych miejscowościach oraz ze studentami wielu polskich uczelni, oświadczamy:

1. Ponowne odwołanie się przez władze PRL do przemocy wobec polskich robotników i społeczeństwa wywołuje nasze oburzenie o 12 kategoryczny sprzeciw. W toku akcji represyjnej sto-

suje się brutalne środki, poniża godność robotników przez oszczerczą kampanię propagandową, przedstawiającą ich jako terrorystów i wichrzycieli.

2. Robotniczy i studencki protest wyraża troskę o interes ogólnospołeczny i narodowy. Przemoc służy przede wszystkim obronie monopolistycznych interesów aparatu władzy.

3. Zagrożenie i krzywda, strach przed biedą, kryzys nadziei, brak perspektyw są wspólne strajkującym i większości społeczeństwa. Poczucie beznadziejności potęguje fakt, że próby stwarzania legalnej reprezentacji wyrażającej dążenia załóg są przekreślane przez odmowę rejestracji, a podjęte przez władze PRL międzynarodowe zobowiązania dotyczące praw ludzkich, obywatelskich i pracowniczych nie są respektowane.

4. Tak zwana linia porozumienia sprowadza się do gry pozorów. Świadczy o tym między innymi nadużycie dobrej woli osób, które z inspiracji Kościoła, zgodnie z życzeniami Komitetów Strajkowych a za zgodą władz, podjęły działania mające na celu pokojowe rozwiązanie konfliktów. Oficjalnie powoływane gremia, które przedstawiane były jako nowe formy porozumienia ze społeczeństwem, okazały swą całkowitą nieskuteczność w sprawach wielkiej wagi.

5. Uciekanie się do przemocy fizycznej, oszczerstw i represji policyjnych zaostrza kryzys i wszystkie polskie problemy. Wprowadzenie nadzwyczajnych uprawnień i upoważnień dla rządu w istocie uniemożliwi reformę gospodarczą i pogłębi dotychczasową błędną politykę we wszystkich jej wymiarach.

W obliczu powagi chwili:

- domagamy się natychmiastowego zaprzestania stosowania przemocy;

- żądamy zwolnienia aresztowanych w związku z protestem społecznym, uchylenia zwolnień z pracy oraz zaniechania innych działań represyjnych. Społeczeństwo zaś wzywamy do udzielenia pomocy prześladowanym;

- za niedopuszczalne uznajemy stosowanie bezprawnej deportacji;

- jeszcze raz domagamy się pluralizmu związkowego, w tym zwłaszcza przywrócenia legalnej działalności NSZZ "Solidarność". Bez "Solidarności", wyraziciela aspiracji narodowych, nie rozwiąże się żadnego z problemów kraju;

- dla wyzwolenia energii narodowej niezbędna jest swoboda powoływania stowarzyszeń gospodarczych, których celem byłoby współkształtowanie polityki gospodarczej i społecznej państwa jak również rozwiązań systemowych.

Nie chcemy walki i konfrontacji, z całą mocą stwierdzamy, że konieczne jest współdziałanie wszystkich sił dla dobra kraju. Wzywamy władze do podjęcia natychmiastowych rozmów z niezależnymi, obdarzonymi społecznym zaufaniem, autentycznymi przedstawicielami środowisk i grup społecznych oraz podjęcia kroków radykalnie zmieniających klimat społeczny. Współodpowiedzialność za losy kraju musi być złączona z realną możliwością współdecydowania.

Wojciech Arkuszewski - fizyk, Leszek Balcerowicz - ekonomista, Janusz Beksiak - ekonomista, Jacek Bocheński - pisarz, Halina Bortnowska - publicystka, Stefan Bratkowski - publicysta, Ryszard Bugaj - ekonomista, Jacek Czaputowicz - działacz społeczny, Paweł Czarторыcki - historyk nauki, Kazimierz Dziwanowski - publicysta, Marek Edelman - lekarz, Jerzy Eysmontt - ekonomista, Bronisław Geremek - historyk, Helena Górska - ekonomistka, Tomasz Gruszecki - ekonomista, Krzysztof Hagemajer - ekonomista, Szymon Jakubowicz - ekonomista, Gabriel Janowski - rolnik, Cezary Józefiak - ekonomista, Marian Kaszyński - działacz związkowy, Stefan Kisielewski - pisarz, Maja Komorowska - aktorka, Krzysztof Kozłowski - publicysta, Marcin Król - historyk, Władysław Kunicki-Goldfinger - biolog, Jacek Kuroń - działacz społeczny, Ryszard Kuśzłyko - inżynier, Wojciech Lamentowicz -

prawnik, Jan Józef Lipski - historyk literatu-
 ry, Jacek Lipiński - hutnik, Jan Mujżel - eko-
 nomista, Andrzej Malanowski - prawnik, Jan
 Malanowski - socjolog, Andrzej Łuszczewski -
 rolnik, Jan Olszewski - adwokat, Włodzimierz
 Pańków - socjolog, Maria Joanna Radomska -
 biolog, Ryszard Reiff - działacz społeczny,
 Jan Rosner - prawnik, ks. Jacek Salij OP - te-
 olog, Henryk Samsenowicz - historyk, Andrzej
 Siciński - socjolog, Ernest Skalski - publi-
 cysta, Tomasz Stankiewicz - ekonomista, Adam
 Stanowski - socjolog, Andrzej Stelmachowski -
 prawnik, Klemens Szaniawski - filozof, Andrzej
 Szczepkowski - aktor, Józef Ślisz - rolnik,
 Krzysztof Sliwiński - publicysta, Andrzej To-
 piński - ekonomista, Witold Trzeciakowski -
 ekonomista, Jerzy Turowicz - publicysta,
 Andrzej Wiśniewski - ekonomista, Jan Winiec-
 ki - ekonomista, Wiktor Woroszyński - pisarz,
 Irena Wójcicka - ekonomista, Tadeusz Zieliński
 - prawnik, Janusz Ziobkowski - socjolog.

Wojciech Arkuszewski - fizyk, Leszek Baice-
 rowicz - ekonomista, Janusz Bekasik -
 ekonomista, Jacek Bochanski - pisarz, Halina
 Bortnowska - publicystka, Stefan Bratkowski
 - publicysta, Ryszard Bugaj - ekonomista,
 Jacek Czaputowicz - działacz społeczny, Paweł
 Czarfortycki - historyk, nauk, Kazimierz
 Dzielanowski - publicysta, Marek Edelman -
 lekarz, Jerzy Eysenhardt - ekonomista, Bronisław
 Gertek - historyk, Helena Góralska - ekono-
 mistka, Tomasz Gruszek - ekonomista, Krzysz-
 tof Hagemejer - ekonomista, Szymon Jakubowicz
 - ekonomista, Gabriel Janowski - rolnik, Cesa-
 ry Józefiak - ekonomista, Marian Kaszyński -
 działacz związkowy, Stefan Kisielewski - pi-
 sarz, Maja Komorowska - aktorka, Krzysztof
 Kozłowski - publicysta, Marcin Król - histo-
 ryk, Wiesław Kunicki-Goldfinger - biolog,
 Jacek Kuroń - działacz społeczny, Ryszard Ku-
 rzajko - inżynier, Wojciech Lamentowicz -

FELIETONY

LEOPOLITA

MOIM ZDANIEM...

Od roku 1957 a może 1958 plotka głosi, że Chruszczow zaproponował Gomułce ujawnienie prawdy o Katyniu i zwaleniu całej winy na Berię i że Gomułka nie przystał na to. Motywacja Gomułki miała być taka, że "nastroje antyradzieckie" /tak się to nazywa w nowo-mowie/ są silne a zatem wydobyć na jaw prawdy o Katyniu musiałoby je wzmocnić. Istnieje też plotka, jakoby Gomułka miał tym wieściom przeczyć.

Obie plotki uważam za prawdopodobne. W każdym razie na tyle, by można się pierwszą z nich zająć w felietonie. Jeśli tedy rzecz cała miała miejsce, to za wątpliwą mam tę część pogłoski, która dotyczy motywów odmowy Gnoma. Tak głupi, by sądzić, że podanie do wiadomości publicznej - rzecz jasna w odpowiednim opakowaniu - tego, co i tak wszyscy wiedzą mogło "wzmocnić nastroje antyradzieckie", tak głupi to on nie był. Musiał natomiast zdawać sobie sprawę z tego, że gdy się publicznie powie, kto mordował w Katyniu, natychmiast padnie pod adresem polskich komunistów pytanie: panowie, co wy tu robicie?

Rzecz bowiem przedstawia się tak, że zerwanie przez rząd sowiecki stosunków z rządem R.P. w Londynie było pierwszym krokiem na drodze do narzucenia Polsce władzy komunistycznej. Bez tego niemożliwe byłyby wszystkie manewry dyplomatyczne Stalina w latach 1943 - 1945. A zerwanie to nastąpiło, jak wiemy, w związku z nieśmiałą i nader dyplomatyczną inicjatywą

rządu R.P. mającą na celu wyjaśnienie tajemnicy zbrodni katyńskiej. Stalin tak się poczuł tym dotknięty, że... i tak dalej. Tu passus o Rooseveltcie i Churchillu, którzy przecież musieli wiedzieć, a w każdym razie mogli, gdyby chcieli, wiedzieć, "kto zabił?". Dowód? Wszak to właśnie strona angielska i amerykańska uprosiły, by cichoem zdjąć sprawę Katynia z porządku "obrad" procesu norymberskiego. Ale nie rozpraszajmy się.

Można oczywiście powiedzieć, że gdyby nie Katyń, Stalin i tak w pewnym momencie zerwałby stosunki dyplomatyczne z prawowitym rządem polskim, a nadto obrzucił ów rząd błotem, w czym dzielnie by pomagała część postępowej - a jakże! - prasy brytyjskiej i amerykańskiej. Już on by coś wymyślił, a postępowi dziennikarze na pewno by to podchwycili. No, ale faktem jest, że owo zerwanie i rzucenie błotem miało miejsce w związku z Katyniem. I jeśli "okazuje się", że rację miał rząd R.P., to należałoby całą historię odwrócić, tj. "rozwiązać" Związek Patriotów Polskich, nie tworzyć I Dywizji, nie powoływać KRN i w ogóle wrócić: kto do skromnych pokoiów w hotelach Kominternu w Moskwie, kto do pracy w sowieckim wywiadzie, a kto do Krosna, do teścia, któremu zresztą Niemcy zdążyli odebrać sklepik wraz z życiem.

Otóż tego wszystkiego Gomułka nie chciał. Nie chciał pytań dotyczących legitymizacji władzy. Również jego osobistej władzy, choć sądzę, że w tym przypadku chodziło mu o coś znaczenie ważniejszego niż stolec i sekretarza. W każdym razie wolno zakładać, że taka właśnie była faktyczna motywacja jego odmowy, że był na tę "legitymizację" uczulony.

A ekipa Jaruzelskiego?

Jest młodsza i w sprawy sprzed bez mała półwiecza osobiście mało zaangażowana. Choć, kto tam wie, co w swoich pogadankach pogadywali różni ongi oficerowie pol-wych. Nijak tego dziś nie sprawdzi. Można by oczywiście przejrzeć roczniki "Naszej Myśli" - był kiedyś taki wielce leninowski miesięcznik teoretyczny dla

oficerów. Ale sądzę, że nie warto na to tracić czasu. Przynajmniej mego, tu i teraz.

W sprawie, o której mowa, decydujące wydaje mi się to, że ekipa rządząca Polską obecnie czerpie swój legitymizm skądinąd. Paradoksalnie z faktu wprowadzenia stanu wojennego czyli "uratowania Polski przed większym złem". To też ekipie tej łatwiej jest przyznać się do Katynia. De facto już to uczyniła. Wymyśliwszy przy okazji niesłychanego dziwoląga językowo-filozoficznego pt. "współprawda". Taka wspólna prawda Polski i Sowietów, słowem - "nasa, mala, słodka tajemnica". Ponieważ prawda nie wymaga kwalifikatorów, sufiksów ani też przedrostków, wynika stąd, że "współprawda" nie jest tożsama z prawdą a przeto zajeżdża od niej fałszem. No, ale tak czy inaczej, łatwiej tej ekipie wykrztusić z siebie słowo "Katyń" niż np. powiedzieć, że można było rozwiązać kryzys, a właściwie zespół kryzysów roku 1981 nie uciekając się ani do większego, ani do mniejszego zła.

Tu głośno wypowiedzmy surową prawdę stanu wojennego, tę mianowicie, że wprowadzenie stanu wojennego nie jest najlepszą z możliwych "legitymacji". Ale też i poczucia własnego legitymizmu ma "nasza władza" nie najmocniejsze. Bo niby ile razy można ratować kraj przed "większym złem"? No ile?

Psycholog należący do którejś z licznych post-freudowskich szkół i przedszkoli mógłby na przykład promulgacyjną frenezję dwóch ostatnich kadencji sejmu przedstawić jako rezultat stłumienia, zepchnięcia poczucia niepewności własnego legitymizmu. Odstępuję ten pomysł za darmo jakiemuś magistrantowi, a może nawet doktorantce psychologii. Proszę bardzo.

29.III.

Leopolita

P.S. O ile wiem, na legitymistyczny aspekt sprawy Katynia zwrócił ostatnio uwagę jedynie Jan Lityński, w nr. 243 TM-u. Odnosząc to i przepraszam, że w ten sposób łamię powszechny w publikacjach drugiego obiegu obyczaj, który nakazuje pisać tak, jak gdyby przed nim nikt nigdy niczego na dany temat nie powiedział. Wydaje mi się ów obyczaj wielce obrzydliwym.

LISTY

TADEUSZ DREWNOWSKI

O BOROWSKIM W STYLU "MAŁEJ KRONIKI"

Dotarła do mnie "Kultura Niezależna" /37/ z tekstem Jana Walca o Tadeuszu Borowskim p.t. "Gdy ziemia nie jest już snem i śnić do końca nie można". U wstępu autor dwukrotnie powołuje się na moją książkę "Ucieška z kamiennego świata", podkreślając, że w faktografii jego szkice nie wychodzi poza moje ustalenia.

Tekst Walca zrobił na mnie wrażenie dość niesamowite. Jest to rodzaj szkicu psychopolitycznego. Na ile dziwna jest to biografia świadczy fakt, że Walc ledwie odnotowuje, że Borowski przeszedł Oświęcim. Nie interesuje go też właściwie jego twórczość, przynajmniej główna, prozatorska. W swym tekście przywołuje nieco rekwizytów poetyckich: Przepraszam - istnieje dzieło, którym zajmuje się szczegółowo: to obłądne, uchodzące za curiosum felietony polityczne Borowskiego z okresu stalinizmu /"Mała kronika wielkich spraw"/. Bowiem Walc uważa, że od urodzenia Borowski był bolszewikiem z nożem w zębach i w tych felietonach, poprzedzających samobójstwo, dopiero prawdziwie się obnażył. O reszcie nie ma co mówić!

Początkowo nie mogłem uchwycić poetyki szokującego tekstu Walca, choć wydał mi się znajomy. Później dopiero zrozumiałem jego fascynację paszkwilanckimi felietonami Borowskiego. Toż po bez mała czterdziestu latach pod pseudo-naukowym polorem Walc wznowia i aktualizuje poetykę "Małej kroniki", prześcigając jej twórcę w najśmielszych demaska-

ojach, donosach i inwektywach.

Przykro mi, że czytelnicy mogliby z przypisów Walca wywnioskować, że moja niedostępna dziś książka ma coś wspólnego z tym kuriozalnym tekstem. Wstyd mi jeszcze bardziej, że był on /może z lojalnie naukowym powoływaniem się na mnie/ prezentowany jako plód niezależnej kultury przyszłym nauczycielom z WSP Rzeszów.

Tadeusz Drewnowski

Od autora

Z udostępnionego mi przez redakcję "Kultury Niezależnej" listu Tadeusza Drewnowskiego wnioskuję, że do monografisty Borowskiego dotarła w końcu wiedza o tym, że jego bohater robił rzeczy straszne, wiedza, której nie ma jeszcze śladu w jego łatwo dostępnej - były 2 wydania - książce o autorze "Małej kroniki".

Myślę, że to krok w dobrym kierunku - przecież póki się nie wie, nie sposób opisywać ani interpretować.

A swoją drogą Drewnowski ma pecha: ciągle go z kimś mylą; Konwicki pisał w "Kalendarzu i klepsydrze", że z nim, sam Drewnowski obawia się, żeby go nie pomyłono ze mną. Ja mam lepiej - mnie za Drewnowskiego nie biorą.

Jan Walc

WYDARZENIA

Dziesięć dni...

Dziesiąty dzień strajku załogi kombinatu hutniczego w Krakowie. Czwarty - strajku w stoczni gdańskiej. Przedtem był jednodniowy protest pracowników komunikacji miejskiej w Bydgoszczy i Inowrocławiu. Akcje solidarnościowe na Dolnym Śląsku: Dolmelu i PaFaWagu, kopalni Rudna i Polkowic w lubińskim zagłębiu miedziowym. Demonstracje studentów Krakowa, Gdańska, Warszawy, Wrocławia, Poznania, Lublina. Protesty pracowników komunikacji w Szczecinie i Policach. Wystąpienia obywatelskie różnych grup społecznych. Zapowiedzi akcji popierających strajki ze strony załóg robotniczych w różnych regionach kraju.

Akcje strajkowe i protestacyjne mają charakter pokojowy. Przywódcy Solidarności, z Lechem Wałęsą na czele, przestrzegali władze przed próbami rozwiązywania konfliktów przy zastosowaniu siły i przemocy. Ponowili propozycję rozmów. Potwierdzili gotowość przystąpienia do "paktu antykryzysowego".

Piątego maja rano, w dziesiątym dniu strajku, agenci MSW wtargnęli na teren objętych protestem wydziałów kombinatu w Nowej Hucie i dokonali aresztowań większości członków komitetu strajkowego oraz niektórych uczestników strajku, używając w tej akcji petard, gazów obezwładniających i pałek; rannych zostało kilkadziesiąt osób. W poprzednich dniach dokonywano licznych aresztowań działaczy Solidarności w różnych miastach. Oddziały milicyjne blokowały dostęp do zakładów ogarniętych falą protestów. Wbrew wcześniejszym zapewnieniom władz, funkcjonariusze

MSW deportowali z kraju przewodniczącego Solidarności Walczącej, Kornela Morawieckiego. Zarówno w tym przypadku, jak i w akcji pacyfikacyjnej w Nowej Hucie, władze dopuścili się wiarołomstwa względem własnych zapewnień a także wobec gwarancji udzielanych wysłannikom Episkopatu Polski.

Nie wiadomo w tej chwili, czy władze nadal mają zamiar odwoływać się wyłącznie do użycia siły w reakcji na ostatnie wydarzenia. Dotychczas nie okazały żadnej skłonności do porozumienia społecznego. Próby "porozumiewania się" z wybranymi przez siebie grupkami, jak np. ze związkowcami z OPZZ, nie przyczyniają się w najmniejszym nawet stopniu do złagodzenia kryzysu; a przeciwnie, tak jak to się stało w Polkowicach, prowadzą do zaognienia konfliktu. Nie jest to postępowanie, które by dobrze służyło Polsce.

Znaleźliśmy się na kolejnym zakręcie najnowszych dziejów Polski, wśród tragicznych uwikłań sytuacji wewnętrznej i w niełatwym kontekście uwarunkowań zewnętrznych. Nikt nie potrafi przewidzieć w tej chwili dalszych wydarzeń. Z ostatnich dni nie możemy jednak nie zauważyć nowej fali solidarności, o której wielu było skłonnych zwątpić, ponownego opowiedzenia się za uzgodnionymi przed laty wartościami życia społecznego, nowej afirmacji niezależnego działania, potwierdzenia wierności tradycjom Sierpnia 1980.

Pomnik Kućmy

Sprawa - by nie powiedzieć "afera" /choć, właściwie, dlaczego nie?/ - pomnika na Placu Krasińskich, który najpierw miał być pomnikiem Powstania Warszawskiego, potem pomnikiem Bohaterów Powstania Warszawskiego, a w końcu, zdaje się zostanie pomnikiem błądów władzy i jej popleczników, ma się już chyba ku końcowi. Czterokrotnie zajmowaliśmy się w "KN" /nrach 2,4,9,29/ przetargami, kłótniami, sporami, zawsze przecinanymi przez arbitralne rozstrzygnięcia władz: najpierw o to, kto buduje, potem o to, czyj pomnik,

wreszcie - jaki?

12 kwietnia prezydent m.st. Warszawy, Jerzy Bolesławski, podjął wreszcie decyzję: ma być wzniesiony pomnik według projektu odrzuconego przez wszystkie kompetentne gremia opiniodawcze, wyłonionego w zamkniętym, wręcz kapturowym, konkursie, zbojkotowanym przez połowę zaproszonych projektantów. Stanie więc potworek jak z horror - komiksu /określenie arch. Stanisława Jankowskiego "Agatona"/ zaprojektowany przez rzeźbiarza Wincentego Kućmę, zaaranżowany architektonicznie przez arch. Jacka Budyna: urągowisko dla idei uczczenia Powstania Warszawskiego i katastrofa urbanistyczna dla ukształtowania Placu Krasińskich.

Najgorsza z możliwych decyzja prez. Bolesławskiego nie powinna być zaskoczeniem dla wszystkich zainteresowanych stron - bo ku temu wiodły kolejne decyzje władz. Nastąpiła jednak w nieoczekiwanym momencie. 9 marca br. zarządy główne trzech stowarzyszeń twórczych: Związku Artystów Rzeźbiarzy, Stowarzyszenia Architektów Polskich i Towarzystwa Urbanistów Polskich przedstawiły wspólny memoriał następującym przedstawicielom wład: sekretarzowi KC PZPR Andrzejowi Wasilewskiemu, ministrowi kultury i sztuki Aleksandrowi Krawczukowi, prezydentowi stolicy Jerzemu Bolesławskiemu, przewodniczącemu Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa gen. Romanowi Paszkowskiemu, oraz prezydium Społecznego Komitetu Budowy Pomnika. Memoriał kończył się zapowiedzią rozpisania nowego konkursu na projekt pomnika - i został, wraz z tą zapowiedzią, przyjęty bez protestu. Po miesiącu została wydana wspomniana decyzja.

Od 1984 roku, kiedy to rozwiązano decyzją administracyjną Społeczny Komitet Budowy Pomnika Powstania Warszawskiego i zastąpiono go powołanym również administracyjną decyzją Komitetem Budowy Pomnika Bohaterów Powstania, sporowi nadany został wymiar "polityczny". Polityczna niewątpliwie gazeta, "Trybuna Ludu" organ KC PZPR, zajęła stanowisko w omawianej sprawie 29 lutego br. Artykuł Jerzego Olszewskiego "O co się spieramy? Nikt nie wie", był,

jak się z czasem okazało, nie indywidualnym popisem publicystycznym, lecz "miarodajną" opinią. Olszewski wezwał do zakończenia sporów, wiedząc niewątpliwie, że decyzja już zapadła, a tylko nie została ogłoszona, i że ani w postępowaniu władz, ani w redakcyjnym zamierzeniu nie było zachęty do jeszcze jednego wyłożenia rzeczowych argumentów, a tylko działanie na zwłokę. Nie pojęły tego zarządy wspomnianych związków twórczych i nie wiedziały, że wysocy adresaci ich memoriału śmieją się z nich w kułak.

Olszewski udaje obywatelską troskę. Trzeba zdążyć na 45 rocznicę Powstania. "Czas jest wartością historyczną". Trzeba dać wyraz prawdzie historycznej: niesłusznie więc ocenia się projekt Kućmy jako "zanadto agresywny, przesadnie realistyczny", skoro "ten wielki zryw zakończył się przecież śmiercią setek tysięcy ludzi, niemal całkowitą zagładą miasta"; "Trybuna Ludu" napomina więc przeciwników nieudanego artystycznego projektu "Nie wolno fałszować historii". Gazeta ustawia się w roli obrońcy pamięci powstańców: "Warszawa czeka na pomnik swoich niezapomnianych bohaterów", przeciwnikom zaś przypisuje niegodziwe motywy: "dotychczasowe spory zatraćają trochę o ambicjonalne, a nawet merkantylne sprawy".

Do projektu Kućmy i Budyna - dowodzi autor "Trybuny Ludu" - nie było zastrzeżeń; te pojawiły się dopiero "kiedy projekt wkroczył w fazę realizacji" i "pokazano makietę publicznie w skali 1:1 na placu Krasińskich". Nieprawda, po wielokroć nieprawda. W maju 1983 r. Związek Artystów Rzeźbiarzy protestował przeciwko organizowaniu zamkniętego konkursu na projekt /zaproszenia wystosowano do sześciu osób, z nich zaś trzy odmówiły udziału w konkursie/. W grudniu 1985 projekt Kućmy i Budyna odrzuciła Komisja Urbanistyczno-Architektoniczna m.st. Warszawy. W lutym następnego roku konserwator zabytków stolicy zwrócił się do SARPu o opracowanie koncepcji ukształtowania placu Krasińskich. Wcześniej "Życie Literackie" wystąpiło z propozycją wystawienia makiety pomnika; uczyniono to dopiero w styczniu 1987r.

Protesty, poza licznym zastępem mieszkańców stolicy, kombatanów Powstania, ogłosiły wówczas ZAR, TUP, SARP, Towarzystwo Opieki nad Zabytkami, Komisja Badań Dziejów Warszawy Instytutu Historii PAN, Towarzystwo Przyjaciół Warszawy. 15 kwietnia 1987 projekt odrzuciła komisja rzeczoznawców powołana przez m. ministra kultury i sztuki. Eksperti powołani przez ministra odrzucili również zmodyfikowany projekt i zalecili /22 września ub.r./ rozpi-sanie nowego konkursu. Minister Krawczuk zda-wał się przychylić do tego wniosku; zamiar taki wyjawiał też 30 stycznia br. prezydent Bolesławski. W marcu więc Związek Artystów Rzeźbiarzy, Towarzystwo Urbanistów Polskich i SARP rozpi-sały otwarty konkurs.

Cóż jednak okazało się z artykułu w "Trybu-nie Ludu"? Oto 29 lutego, a więc na tydzień przed spotkaniem organizatorów konkursu z władzami, mistrz Czesław Korfanty z huty "Gliwice" doniósł reporterowi gazety, że "zrobiono już 75 procent odlewów", co oznacza, że co najmniej od kilku miesięcy min.Krawczuk prez.Bolesławski, gen. Paszkowski i sekr. Wasilewski bezwstydnie oszukiwali swoich rozmówców - reprezentantów środowisk twórczych, że decyzja jeszcze nie zapadła i że przy jej podejmowaniu opinie fachowców zostaną wzięte pod uwagę. Jeśli ktokolwiek miał jeszcze złudzenia co do koncyliacyjnej polityki władz wobec twórców kultury, to otrzymał właśnie odpowiedź, jak naprawdę ona wygląda. Kto zaś śledził losy pomnika, nie powinien się już niczemu dziwić.

"Jam syn swojego kraju..."

Gdyby tak zamienić zaimki, brzmiało by to poważnie: "Tyś syn swojego kraju!". Bez tego nieznośnego chwalipectwa, którym zgrzeszył Wojciech Żukrowski. Na obcym terenie, w Związku Radzieckim, w wywiadzie udzielonym moskiew-skiej "Prawdzie" 4 marca br. /w dalszym ciągu cytuję fragmenty w przekładzie "eka"/. "Mam obowiązek napisać coś poważnego o współczes-nej Polsce, o reformie i przebudowie; nie boję

się wielkich słów". Prezes jest owładnięty poczuć misji. "Wiele zajmowałem się państwową i społeczną działalnością. Także teraz, kiedy jestem naczelnym przywódcą organizacji pisarzy Rzeczypospolitej, wypełniam odpowiedzialne zlecenie społeczeństwa". Lojalność względem narodu - coś w tym dziwnego - Żukrowski przedkłada więc ponad lojalność względem kolegów pisarzy. "Sława? Coż jest sława? Czy nie wydaje się panu, że sława, podobnie jak moda, jest zmienna i koniunkturalna? Rozgłos bywa różny. Znam pisarzy, moich rodaków, którzy nie mając ochoty po raz któryś tam przetrwać rękopisu, wybierali okrężny manewr - zwracali się do zachodnich mecenasów. A przy tym oświadczały bez krzty sumienia: nie przyjęto mnie tam, w ojczyźnie, do związku... Zjawiała się książeczka. Gdzie znajdowała czytelnika i czy w ogóle znajdowała, trudno powiedzieć. Nie w tym problem. Wiem dobrze, że autor nie zwracał się do nas nigdy w sprawie przyjęcia do związku literatów i postanowił swoje nader wątpliwe zachowanie przekształcić, przy nadarzającej się okazji, w pozę. Weźmy znacznie wyżej - nagrodę Nobla. Dają ją jakoby za szczególne zasługi. Ale przyznawano ją niejednokrotnie takim właśnie "nieprzyjętym". Z politykierskich powodów".

Wojciech Żukrowski bywał w służbie dyplomatycznej PRL. Powinien więc wiedzieć, jaka jest odpowiedzialność za słowa dyplomatów, występujących na obcym terenie, za to, jakie świadectwo wystawiają. Kiedy więc ogłasza, jak w "Prawdzie", że "Czasami słyszy się, że u nas w Polsce związek literatów stracił w latach kryzysu najlepszych pisarzy. A to nieprawda, autorytatywnie wyjaśniam", nie może nie wiedzieć, że daje fałszywe świadectwo. Ale z innej wypowiedzi prezesa dla zagranicznych czytelników wynika, że niewiele o to dba. Czeskiej "Tworbie" mianowicie powiedział: "Z produkcji literackiej, która ukazała się na polskim rynku wydawniczym w 1987 r. najwyżej oceniam książkę Zbigniewa Nienackiego "Raz do roku w Skirolawkach". Żukrowski nie daje świadectwa prawdzi. Wystawia świadectwo sobie.

Czy odzyskamy nasze książki?

W dniu 16 marca 1988 r. Sąd Najwyższy uchylił i przekazał do ponownego rozpatrzenia orzeczenie VII wydziału karnego Sądu Rejonowego w Warszawie. Sąd Najwyższy oparł swe postanowienie na podstawie ustawy amnestyjnej. Rzeczą idzie o książki, pisma i inne przedmioty zabrane przez SB z mieszkań 13 osób w trakcie operacji policyjnej dokonanej w dniu 28 czerwca 1986 r. Zostali wówczas aresztowani Jacek Szawdyn, Grzegorz Szulc i Stanisław Włodarz. Sprawa o bezprawny zabór dóbr kultury znalazła się na wokandzie Sądu Najwyższego w wyniku odwołania Bohdana Kosińskiego /zabrano mu ok. 60 pozycji, wyszczególnionych w protokole przesłuchania/, zakwestionowanego przez Prokuratora Generalnego, który wniósł w tej sprawie rewizję nadzwyczajną /!/.

W innej podobnej sprawie zapadł precedensowy wyrok, nakazujący zwrot skonfiskowanych książek. Mieszkańcowi Leszna Wielkopolskiego zabrano podczas rewizji pięć pozycji, nabytych w latach 1980-81 w "ogólnie dostępnych punktach sprzedaży": "Dzienniki" Gombrowicza, "Bez ostatniego rozdziału" Andersa, "Dziennik węgierski" Woroszylskiego, historię Poboga-Malinowskiego i biografię gen. Sikorskiego. Sąd Najwyższy orzekł, że "skoro powód kupował książki w ogólnie dostępnych punktach sprzedaży, nie był obowiązany ustalać, czy organy cenzury wyraziły zgodę na wprowadzenie ich do sprzedaży". "Należy rozróżnić zakaz rozpowszechniania określonych publikacji od ich posiadania dla własnego, nie łączącego się z zamiarem rozpowszechniania użytku".

/red. Leon Bober/

300-

WYDAWNICTWO
PROS
1988
WARSZAWA